

ROCZNIK II. **1869.** ZESZYT III.

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

CIĄG DALSZY.

III.

Dziadek i wnuki.

Probostwo w Olchowcu, pod względem rozkładu, było miniaturą ekonomii. Wszystko tam było tak samo, tylko w zmniejszonych rozmiarach i staranniej utrzymane. Na ekonomii widocznie dbałość zwracała się przeważnie ku użytkowi; na probostwie okazywała się dbałość o użytek i o piękno. To też znajdywały się tu pewne dodatki, bez których w gospodarstwie obejść się można, które jednakże wielce się przyczyniają do uprzyjemnienia życia. Był tam, naprzykład, ganeczek o rzeźbionych słupkach, z ławeczkami do siedzenia; były tam firanki w okienkach; było tam pełno kwiatów wzdłuż bocznych ścian, odgrodzonych od podwórka płotem misternie uplecionym. Róże i malwy w okna zaglądały, otaczając domek wieńcem, w którym on jaśniał biały i czysty, jak cnota. Za tym wieńcem szły szeregi grządeczek z kwiatami i pachnącemi ziołami, około których całemi dniami brzęczały pszczoły. Za grządkami, w półkole, ciągnął się szpaler berberysów, z pośrodka których w równych odstępach, wznosiły się drzewa jarzębiny. Za tym szpalerem, rozlegał się obszerny ogród fruktowy, porządnie i starannie utrzymany, pełen wybornych, w różnych gatunkach, jabłek, gruszek, śliwek, wiśni, czereszni. W ogrodzie nie było szutrowanych ulic, ani strzyżonych szpalerów. Pomiędzy drzewami wiły się ścieżki ledwo widne w trawie, która nie przeszkadzała bynajmniej drzewom róść i rozrastać się; nie było altan ani kiosków, ani nawet darniowych ławeczek — każda jabłoń, grusza i czeresznia pełniła funkcyę altany, bo dawała cień i chłód, a trawa wabiła do leżenia, do owego roskosznego leżenia, które człowieka ogarniało półsnem i do marzeń pobudzało. O! bo też czegoż w tej trawie nie było?... Zanurzywszy się w nią, ździebełka i listki nachylały się nad leżącym lekko a troskliwie i łechtały ciało; i otaczały go roje much, muszek i babek, które mu przed oczami grały kolorami tęczy a w uszach brzęczeniem cichej, harmonijnej, do snu usposabiającej muzyki, będącej jakby echem, zwianem ze stref, w których grają gwiazdy na strunach z promieni.

Roskosznie było w tym ogrodzie, w tej trawie. Zanurzonemu w niej oczy się same zamykały, i otwierał się świat widzeń fantastycznych, barwnych, promienistych.

Pod drzewami wyrastały podpieńki a w trawie polne kwiatki. Ogród otoczony był rowem, na którym wznosił się zielony wał licyny, obsypujący się latem białemi w różowe centki kwiatkami.

Na podwórku, tak samo, jak w ekonomii, była studnia z żurawiem, i lipa po środku, i szopy wzdłuż płotów, i stajenka i chlewy i spichrz i słup do suszenia hładu-

szczyków. Lecz i tu były dodatki. Na samym środku wznosił się gołębnik, otoczony płotem na to, ażeby bydło lub nierogacizna nie ochwiewały, przez ocieranie się, słupa. Wewnątrz tego otoczenia rosły krzaki kaliny, z lasu przesadzonej, i formowały zielony bukiet, który jesień przyozdabiała w czerwone korale. Pomiędzy krzakami zasianem było boże drzewko, napełniające wonią całe podwórko, a około słupa wił się chmiel, wspinał się do góry, czepiał się latoroślami kołków i szpar, i mnogiemi liściami osłaniał ścianki i daszek gołębnika.

Wewnętrzny rozkład domku tem się tylko od ekonomii różnił, że posiadał nie cztery ale dwa pokoiki, i że w tych pokoikach było jak w pudełeczku, czyściutko, świeżutko i elegancko. Każda rzecz była odmuchana, każdy sprzęt i sprzęcik zajmował odpowiednie miejsce. W kącie na prawo wisiał obraz Matki Boskiej, otoczony wiankami i bukietami święconych ziół, przed obrazem lampa na srebrnym łańcuszku a po obydwóch stronach wzorzyście szyte ręczniki. W drugim kącie stało łóżko sypialne z kotarami, wygodnie i czysto zasłane; nad łóżkiem obraz św. Józefa. Pomiędzy łóżkiem a obrazem, pod oknem na ogród wychodzącem, stolik do pisania, a przy nim stare krzesło z poręczami skórą wybite; pod obrazem Matki Boskiej kilimkiem zasłany, wygodny, bo w materac do siedzenia i opierania się zaopatrzony tapczan; przy drzwiach szafka z książkami i stary zegar z kukułką i malowanym w róże cyferblatem; kilka obrazków świętych Pańskich na ścianach, duży zielony kufer, kilka drewnianych stołków, stolik po środku ciemnozielonem, grubem suknem pokryty; oto całe umeblowanie pierwszego pokoiku. W drugim stało także łóżko ale bez kotar, pod oknem stolik i kufry, i wisiały także na ścianach obrazki, pomiędzy któremi miejsce wydatniejsze zajmowało zwierciadełko, a w głębi rozpierała się spora szafa. Wszystko to było proste, ale ze wszystkiego patrzyła schludność, posunięta do najwyższego stopnia, i coś nawet nakształt kokieteryi, zdradzającej poczucie symetryi, umiejącej zrobić piękną taką całość, której składowe części pięknemi nie są.

To przyozdobienie mieszkanka zewnątrz i wewnątrz usposabiało dobrze dla mieszkańców, posiadających poczucie symetryi. A mieszkańców było pięcioro, ale pomiędzy nimi główne role przypadały dwojgu ludziom: siedmdziesięcioletniemu starcowi i ośmnastoletniej dziewczynie.

Starzec nazywał się Nikon Dobrzański; dziewczynie na imię było Irena. Pierwszego zwano pospolicie ojcem Nikonem, drugę Jerynką.

Ojciec Nikon był popem błahoczestywym — dziś powiedzielibyśmy „prawosławnym“, albo z przekąsem „szyzmatyckim“. I w czasach, do których się powieść nasza odnosi, księży trzymających się wschodniego wyznania i uznających patryarchę konstantynopolskiego głową kościoła, przezywano dyzunitami, dyssydentami i szyzmatykami. Nie naszą jest rzeczą wdawać się w spory teologiczne ani nad dogmatami się zastanawiać. Powieść nie jest miejscem po temu. Będziemy raczej trzymali się drogi powieściowej, która nie zabrania nam powiedzieć, że jak dziś tak sto lat temu, tym co kwestyę religijną poruszali, bynajmniej o religią nie chodziło. Służyła ona nie jako cel, lecz jako środek, albo raczej, jako parawan do osłaniania widoków obrzydliwie ziemskich. Jedno wyznanie brali za parawan jedni, drugie drudzy, i osłaniali niem dążności, nie mające nic wspólnego z tem wszystkiem, co ciemnej gawiedzi na pastwę rzucano i o co ona się gryzła, jak poszczute psy. Katolicy, odmawiający praw obywatelstwa szyzmatykom, nie mieli najmniejszej racyi. Jedni i drudzy nie umieliby się rozumnie wytłumaczyć ze wzajemnej zawziętości — i dlatego też tłumaczenie uciekło się pod skrzydła tej *ultima ratio*, przeciwko której nie masz apelacyi. Przewaga rozumu zastąpioną została przewagą pięści. Nie chodzilo o to, po czyjej stronie racya, ale kto silniejszy. A że to się działo w łonie jednego i tego samego narodu, więc spór wytoczyć się musiał na zewnątrz i wezwać na pomoc obcych. Katolicy udali się do papieża i monarchów katolickich, prawosławni do cara. Polska została rozpięta na krzyżu, którego jedno ramię gubiło się w Rzymie, drugie w Petersburgu. Ci co ją rozpinali, upominali się o tytuł *patres patriae*... dlatego chyba, że prowadzili za sobą ślepe tłumy, co w imię wiary, w własnej krwi topiły ojczyznę.

Ojciec Nikon nie należał do *patres patriae*. Był on jednostką w tłumach zgubioną, szyzmatyckim popem, który jednakże mógł był po nad tłumy się wznieść i w zastępie przewodników stanąć. Sposobność po temu nastręczała się mu kilkakrotnie. Był to bowiem człowiek, co kapłaństwo swoje wziął nie w znaczeniu sposobu do życia, lecz jako stanowisko chrześciańskiego nauczyciela, wkładające obowiązki czysto moralne czuwania nad duszami ludzkiemi. Z tego powodu uczył się i dość umiał i prowadził żywot nieposzlakowany, zmuszający najgorliwszych katolików do uchylania przed nim czoła. Z tego także powodu katolicy namawiali go do przyjęcia unii, a prawosławni ofiarowywali mu dostojeństwa kościelne. Jedni i drudzy ukazywali mu w perspektywie biskupią mitrę; lecz on pierwszym odpowiadał, że sumiennie nie umie sobie wytłumaczyć, dla czegoby miał przejść na unię, drugim, że nie może oderwać się od rodziny, którę całą duszą ukochał. Rodziną nazywał swoich parafian. Były to jednakże odpowiedzi wymijające. Głównym wszakże powodem, dla którego ojciec Nikon przekładał skromne wiejskie probostwo nad archierejstwo i biskupstwo było to, iż na wyższem stanowisku byłby zmuszony wziąść udział w sporze o wyższość jednego wyznania nad drugiem i odegrać rolę obrońcy przekonań, które obrony nie potrzebowały. Poznał on bowiem, że spór w istocie rzeczy nie o przekonania się toczył, że zatem, występując, czy to w obronie łacińskiego katolicyzmu, czy

słowiańskiej unii, czyli też greckiego prawosławia, stałby się bądź narzędziem w rękach samolubów, wyzyskujących jego rozum, cnotę i wziętość, bądź hipokrytą, wyzyskującym swój rozum, swoją cnotę i wziętość na własną korzyść. Wolał więc pozostać w Olchowcu do śmierci popem.

— Ej!... gdybym to ja mógł naprawić złe... — myślał sobie niekiedy.

Lecz nie ufał własnym siłom i dlatego, jak powiadał, nie puszczał się na szeroką wodę, to jest, odpychał i odepchnął od siebie pokusy, ukazujące się mu w perspektywie w postaci kumiłafek i infuł, zwłaszcza od czasu śmierci nieboszczki żony, po której nastąpiło jeszcze dwie śmierci, synowej i syna. Po każdym z tych ciosów pospieszano do ojca Nikona z pokusami, ujmującemi ambicyą i zdolnemi zachwiać najstalsze postanowienie, tylko nie jego.

— Niech was pan Bóg ma w swojej opiece... — odpowiadał kusicielom — nie wywabicie mnie z Olchowca... Tu spoczywa moja Małgorzata, moja Marya i mój Jan, i ja chcę moje kości obok nich złożyć...

— Ależ dobrodzieju... — mówili mu katolicy, unici i błahoczestywi — święta, prawdziwa wiara domaga się, ażebyście stanęli jako pasterz nad pasterzami.

— Święta, prawdziwa wiara domaga się, abym nie brał ciężaru nad siły, pod którymbym upadł... Niech ja wszczepię miłość bliźniego w tę trzódkę, śród której się urodziłem, to ojciec niebieski nie odeszle sługi swego na lewo, kiedy przed nim stanę...

Robiono mu uwagę, że chodzi nietylko o szczepienie miłości bliźniego, ale i o szerzenie prawdy. Lecz on na to odpowiadał, że nie zna i nie rozumie innej prawdy, jak tylko tę, z której Chrystus uczynił podstawę nowego zakonu: „kochaj bliźniego twego jak siebie samego".

Nie było z upartym rady. Próbowano z innej zajść go beczki. Oskarzono go raz o herezją, która zależeć miała na tem, że za bliźnich jednakowo uważał wszystkich, bez względu na obrządek, chrześcian. Lecz skarga ta upadła sama przez się, przez to mianowicie, że nie było zasidateli, sprawników, mirowych, pośredników i gubernatorów, którzyby ją poparli. Ojcu Nikonowi dali pokój i on od lat piętnastu, to jest od śmierci syna, który mu zostawił dwoje wnucząt, nie miał żadnych propozycyi, zajść ni ambarasów. Praktykował czynną miłość bliźniego, świecił olchowieckiej gromadzie przykładem cnoty i pracy, odprawiał regularnie służbę bożą, chrzcił, dawał śluby, spowiadał, grzebał umarłych, był przytem rolnikiem, pasiecznikiem, ogrodnikiem, uczył się i wychowywał wnuka i wnuczkę.

A był to człowiek w obejściu się bardzo prosty, miły i nawet jowialny. Opowiadał anegdoty, lubił pożartować i pośmiać się, i miał wyrozumiałość dla ludzkich ułomności i błędów. Przekonaniem jego było:

— Niechajno złe przeminie, to będzie lepiej...

Sentencya ta weszła u niego w przysłowie, bo wierzył głęboko, że ludzie muszą kiedyś przyjść do rozumu.

— Toć przecie — utrzymywał — rozum jest darem bożym, i Bóg w mądrości swojej nie na to go dał, ażeby albo odłogował, albo same chwasty rodził.

Rozumie się, zasady które wyznawał sam, wpajał w wychowańców swoich. Za podstawę moralności dał im miłość bliźniego.

— Kochaj bliźniego jak siebie samego — powtarzał wnukowi — a resztę dorób sobie sam.

I wnuk tak się mu udał, że — przepraszam za wyrażenie — z kopyta wszedł na drogę, na którą go dziadek chciał wprowadzić, i trzymał się jej jak ślepy płotu. I dobrze mu z tem było. Ludzie, o których się ocierał, przeczuwali w nim serce kochające, i jak zwykle się dzieje, odpłacali mu wzajemnością. Naukę rozpoczął najprzód u dziada, który go nauczył czytać, pisać i rachować po słowiańsku i po polsku i katechizmu; następnie oddany został do szkółki, którą w Płoskirowie jakiś amator nauczania założył; dalej odwiózł go dziad do Ostroga, gdzie istniała szkoła dla błahoczestywych, i skończyło się na tem, że go oddał do Buczacza do Bazylianów. Oddając do Bazylianów taką mu dał naukę:

— Jeżeliby ci proponowano, albo jeżeliby tobie samemu przyszło kiedy na myśl, zmienić wyznanie, w którem się urodziłeś i które było wyznaniem twoich ojców i dziadów, to zapytaj najprzód własnego sumienia: jakie cię do tego zmuszają pobudki? czy osobista korzyść? czy strach? czy własne przekonanie?... Dla osobistej korzyści nie zmieniaj obrządku, bobyś był podłym. Ze strachu jeżelibyś zmienił, to sam sobą pogardzisz. Ze zmienieniem z przekonania nie spiesz się, a odłóż to do czasu, aż się nauczysz tyle, że nie będziesz miał więcej nic do uczenia się, bo wówczas dopiero oświecisz dokładnie twoje przekonanie.

Z tego wypadało, że o zmianie obrządku nie ma co myśleć. To też młody Prokop Dobrzański ani myślał o tem. Ale obok tego nie myślał i o tem, co było gorącem dziadka życzeniem. Ojciec Nikon pragnął wykierować wnuka na księdza i często mu o tem wspominał.

— Zostań popem.,. obejmiesz po mnie parafię w Olchowcu.

Lecz Prokopowi nie to roiło się po głowie.

Parafię kochał, jak rodzinne gniazdo. W Olchowcu, w domku dziada, było mu jak w raju; lecz raj ten nie miał dla niego siły przyciągającej. Po szkołach, pomimo że owoczesne urządzenie ich było wielce niedokładnem a nawet wadliwem, i od samego dziadka dowiedział się o rzeczach, pełnych ponętności dla młodego umysłu. Jeografia i historya pokazały mu człowieka w przestrzeni i czasie, to jest, jako jednostkę, mającą przed sobą pole do działania obszerniejsze, aniżeli granice rodzinnej wioski. Żywoty Plutarcha dały mu gotowe przykłady, które osnuł tkaniną wyciągniętą z własnej wyobraźni w sposób taki,

w jaki pająk ciągnie z siebie nici. Zapragnął świata i działania. Czuł w duszy zaczyn, który ją podnosił i sprawiał, że nieraz z dziadkiem zwodził dysputy o przeznaczeniu człowieka. Starzec dokładał wszelkich usilności, ażeby moderować zapał młodzieńca, co mu — jak łatwo się domyślić — nie wiodło się. To jednakże bynajmniej nie przeszkadzało Prokopowi, ile razy był w domu na wakacyach lub na świętach Bożego narodzenia, wyręczać diaka na kłyrosie i śpiewać „Hospode pomyłuj“ takim basem, od którego drewniana cerkiewka w posadach się wstrząsała. Z tego powodu wieśniacy powiadali, że, jak się Prokop wyświęci:

— Otóż to będzie pop!...

Ale on, pomimo że na pierwszą Preczystę dwadzieścia trzy lat skończył, o wyświęceniu ani myślał. A o czemże myślał? — O wielu rzeczach tylko nie o wyświęceniu; tymczasem zaś douczał się u Bazylianów, którzy pod względem obrządku, jaki wyznawał, traktowali go z zasługującą na jak największe uznanie tolerancyą, a to dlatego zapewne, że ojciec prefekt z ojcem Nikonem kolegowali niegdyś w szkołach i byli podobno złączeni węzłami jakiegoś pokrewieństwa. Ojciec prefekt na wstępie mu oświadczył:

— Chwal sobie Pana Boga, jak umiesz, bylebyś go chwalił, a szanuj się i ucz, bo na tych, co się nie szanują i nie uczą, ojcowie profesorowie noszą w cholewach... bizuny i biją z jednakowym przyciskiem w katolickie i szyzmatyckie skóry...

Równouprawnienie wobec bizuna uwolniło młodego człowieka od wszelkich przykrości, jakichby doznawać musiał, gdyby był traktowany gorzej lub lepiej niż inni. Jeżeli zasłużył, dostał na tym samym stołku i z tą samą ojcowską serdecznością, co każdy z jego kolegów. Szlachcic, nieszlachcic, katolik, niekatolik, jak tylko leżał na stołku w „odwrotnej“ pozycyi, był dla ojców Bazylianów przedmiotem jednakowej gorliwości.

W tem miejscu pozwolę sobie rzec słówko o bizunach w ogólności. Powstajemy dziś na nie, a raczej, na ojców naszych, którzy je jako konieczną edukacyjną pomoc uważali. Dziś, rzeczywiście są one już anachronizmem. Przekonano się, że rozbudzenie najprzód w dziecku a następnie w młodzieńcu poczucia osobistej godności skutkuje lepiej aniżeli bizun. Lecz w onych czasach inaczej się na tę kwestyę zapatrywano. Sam suchy sposób nauczania, same przedmioty, któremi nadziewano głowy, wymagały przymusu, gwałtu. Gwałtem tylko bowiem można było wbić w pamięć takiego Alvaresa i umiejętności wykładane według scholastycznych formułek, podobniejszych do kuchennych przepisów, niż do nauk. Bizun więc był potrzebny. Używano go szeroko po świecie, nie w samej tylko Polsce. Anna Austryaczka, rejentka Francyi, kazała często ćwiczyć przyszłego króla, Ludwika XIV., któremu nieomieszkiwała przed biciem i po biciu oddawać honorów, monarszemu dziecku należnych. Na dworze austryackim arcyksiążęta brali rózgami ile się wlazło. Przez cały ciąg XVII. i XVIII. wieku, na całym zachodzie a zatem i w Polsce nauki do głów napędzanemi były przez pośladki. Martwiono grzeszne ciało, aby zbogacać duszę. Z tej racji, że biczowanym był Chrystus, biczowano młodziutkich chrześcian. Ten system oddziaływał na stosunki domowe. Co dostali w szkołach, oddawali z procentem: ojcowie dzieciom, zwierzchnicy podwładnym, panowie sługom i poddanym. Bito synów, bito żołnierzy, bito chłopów, bito kogo tylko bić było można — a, ażeby można było bić jak najwięcej — uciekano się do różnych sposobów. W Polsce pod szlachcicem podścielano kobierce, w Węgrzech na kobiéty w poważnym stanie wynaleziono osobną maszynę. Było więc trochę racji w tym przysłowiu, które jest zeszłego wieku zabytkiem: „za jednego bitego dają dziesięciu niebitych“. „Bicie“ bowiem było jednoznacznikiem „uczenia i moralizowania“. Zatem bity był uczonym i moralizowanym, to jest, więcej wartym od tego, nad czyjego serca i duszy zbogaceniem nikt nie czuwał. Był to system ogólny, związany w jedną, nierozerwalną całość ze scholastyczną metodą. Gdyby dziś wypuścić duchowieństwu oświatę publi-



OJCIEC NIKON.

czną, to powróciłaby scholastyka a z nią i biczowanie, szersze jak w zeszłych wiekach, bo wzmocnione konstytucyjną równością wobec prawa, która pod bizun, w celu podniesienia ich wartości, oddaćby mogła większością głosów najwyższych dostojników, posłów na sejmy, delegatów na rajchsraty, różnych prezydentów, assesorów, sekretarzy, kasjerów, redaktorów gazet, kronikarzy, właścicieli posiadłości największych i wszystkich innych. Możeby to w pewnych razach miało jaką praktyczną użyteczność, lecz, zdaje się, czasy panowania scholastyki już nie powrócą.

W czasach jednakże, o których piszemy, brzask nowego systemu dopiero witać zaczynał. Stanisław Konarski zakładał konwikty szlacheckie i reformował szkoły pijarskie, bez naruszania wszakże uświęconego wiekowem używaniem bizuna. Do Bazyljanów jednakże reformy Konarskiego jeszcze były nie przenikły. Oni po staremu trzymali się scholastycznych przepisów i boćkowskiego kańczuga, utrzymując, że jak starego wina, tak starej metody wielką zaletę stanowi wytrawność.

— Jak te nowalje postarzeją, to może będą dobre — powtarzał ojciec prefekt a za nim wszyscy profesorowie — ale nim to nastąpi, trzymajmy się starego porządku.

Z całą więc serdecznością i najlepszą wiarą urabiał takich, co byliby więcej aniżeli dziesięciu niebitych wartymi. Była to miara *in minimum*, od której nie odstępowali ojcowie Bazylianie buczaccy, starając się przytem z wzorową gorliwością i o to, ażeby z ich rąk wychodzili i tacy, którzyby wartymi byli więcej aniżeli sto, tysiąc niebitych. Bili zatem co wlezie.

Więc i nasz Prokop często zmuszonym bywał wyciągać się na zydlu, leżeć bez trzymania, ażeby dowieść pokory, liczyć głośno razy, na które był skazany, ażeby, broń Boże! ojciec profesor lub kalafaktor nie omylił się *in plus*, słuchać długich morałów, obiecywać za każdym cięgiem poprawę i w końcu dziękować za ojcowską naukę. W ten sposób uczony przeszedł *grammatices, rhetorices* i dostał się na *philosophica*, uczył się wymowy, prozodyi, dialektyki, matematyki, astronomii, zwodził dysputy *de ente* i *de substantia*, umiał Cycerona, Owidiusza i Tubullusa na pamięć, deklamował, pisał wiersze po łacinie, i ponieważ miał gruby głos, doskonale grał diabła w dialogach, które ojcowie Bazylianie w sceniczny sposób urządzali. Do skończenia nauk pozostawał mu tylko rok. Na Piotra i Pawła w r. 1768 miał opuścić szkolne mury, i myślał o tem nie bez pewnego zadowolnienia.

Myślał o tem i ojciec Nikon i zawczasu przysposabiał się z zebraniem wszystkich argumentów, któremiby ostatecznie przekonać mógł wnuka o korzyściach, jakie dla niego zapewniają: wyświęcenie się na popa i objęcie skromnego olchowieckiego probostwa. Sam jednakże powątpiewał, ażali wymowa jego przyda się na co, i dlatego argumenta wspierał westchnieniami do Opatrzności, której z góry powierzał swego wychowańca. Nie chciał go zmuszać, w tem przekonaniu, że kapłan z przymusu ani Bogu miłym, ani ludziom pożytecznym być nie może. Spuszczał się więc w tym względzie na Opatrzność, opiekującą się i najdrobniejszym robaczkiem, a nie dopieroż młodym człowiekiem, co skończył szkoły w Buczaczu.



J E R Y N A.

A miał ojciec Nikon i wnuczkę.

Kiedy myślał o przyszłości wnuka i na wnuczkę spojrzał, to się staremu wydawało, że owa Opatrzność, pod której opiekę Prokopa oddawał, musi być chyba podobną do Jerynki, ubranej w białe skrzydła anioła.

Bo też ona i anioł, anioł i ona — było to jedno i to samo. Odjąć aniołowi duchowość i skrzydła, zmieniłby się w Jerynkę; dodać Jerynce duchowość i skrzydła, zmieniłaby się w anioła. Była bowiem taką, jak po obrazach malują i po książkach opisują tych bożych posłańców. Złotowłosa, białolica, jak kłos żyta smukła i powiewna, jak z marmuru wytoczona, z karminem na ustach, z różami na policzkach, z perłami w gębie, z bławatkami w oczach, była to dziewczyna, od której, gdy się uśmiechnęła,

oczów oderwać nie było można — taki urok lał się z pod jej długich rzęsów i z dołków, co się jej na twarzy formowały; a gdy się odezwała, to najzwyczajniejsze wyrazy płynęły jej z ust, jak czarowna muzyka — taki dźwięk miała w głosie. A przytem, nie umiała nic zrobić, coby na naganę zasługiwało. Dziadek przy niej nie czuł ciężaru starości — tak umiała wszystkie jego potrzeby zaspokoić i wszystkie mu chwile osłodzić. To, że probostwo tak pięknie wyglądało, było jej dziełem. Wyłącznie ona miała staranie o wszystkiem, co się do upiększenia, do — że tak powiem — upoetyzowania ubogiego domku przyczyniało: o kwiatkach, o grządkach, o gołębiach, o wewnętrznej czystości. Nie dziw przeto, że ojcu Nikonowi Opatrzność w postaci jej się przedstawiała.

Jerynka miała lat ośmnaśeie; więc była w pełni dziewiczego rozkwitu, i serce jej miało już swoją historję, streszczającą się w jednym wyrazie:

— Pragnęła...

Czego?

Niech na to zapytanie odpowie pierwsza lepsza ośmnastoletnia dziewczyna. Każda, jeżeliby zechciała być szczerą, odpowiedziałaby, że pragnie, ale żadna nie wie na pewne czego. Czegoś... A do tego „czegoś“, co stoi po środku jak słońce śród planet, komet i gwiazd stałych, i nie da się ani opisać ani opowiedzieć, prowadzi tysiące dróg i drożyn, ścieżek i ścieżeczek, wychodzących z niezliczonej ilości punktów, i wijących się w nieskończoną ilość zakrętów i zygzaków, któremi idzie ośmnastoletnia dziewczyna. Idzie i dójść nie może; błąka się i drogi szuka; znajduje drogę i natychmiast ją gubi: oto co stanowi historyę jej serca — historyę długą, długą, nieskończoną, pełną rzeczy nadzwyczajnych, tak nadzwyczajnych, że do opowiedzenia ich ludzka mowa jest za ubogą, a streszczających się w wyrazach: pragnie, sama nie wie czego.

Owoż Jerynka miała lat ośmnaście i serce jej miało już swoją historyę. Dlatego zapewne, gdy z igłą siedziała przy okienku, na przeciwko róż, które do jej pokoiku ciekawie zaglądały, pierś jej często podnosiła się z westchnieniem — co, gdy w oko wpadło dziadkowi, staruszek się filuternie uśmiechał, brodę dłonią gładził, wnuczkę klepał po ramieniu, i sentencjonalnie jej powiadał:

— Nie troszcz się... suženoho koniom ne objidesz.

Na te słowa zwykle mocniejszy rumieniec wyskakiwał na policzki Jerynki. O znaczenie rumieńca dziadek jej nie pytał, a to dla tego, że wiedział, iż był on największą dla niej samej tajemnicą.

Na probostwie dnie płynęły cicho, spokojnie, swobodnie, jedne do drugich podobne, a przecież nie nudne, bo zapełnione pracą, która się rozpoczynała o wschodzie, kończyła o zachodzie słońca. Każdy więc wieczór dla księdza, jego wnuczki i domowników był tem, czem dla okrętu jest zawijanie do portu. Uspokajał się ruch, cichnął gwar, ojciec Nikon zasiadał w ganku na ławeczce i pogrążał się w zadumę, która zazwyczaj bywała dziękczynną modlitwą. I długo w pomroku wieczornym świeciła pomiędzy rzeźbionemi słupkami postać białowłosego, łysego, z długą od starości nieco przyżółkłą brodą, starca, zapatrzonego w niebo, w którem niezawodnie było miejsce z góry już dla niego wyznaczone.

I w tym dniu, w którym się powieść nasza zaczyna, nad wieczorem usiadł starzec na ganeczku i pogrążył się w zadumę.

Na podwórku domownicy kończyli dzienne zatrudnienia. Stróż drwa rąbał, parobek poił w studni bydełko i konie, dziewka służebna to wybiegała to znikała, parę razy z wnętrza domku wyjrzała Jerynka i obrzucała troskliwem wejrzeniem dziadka, który na nią nie zważał. Psy leżały przed gankiem, podnosząc od czasu do czasu głowy i nastawiając uszy, jakby w oczekiwaniu na jakiś wypadek, bezpośrednio ich się tyczący. Wypadkiem tym oczekiwanym była wieczerza, przy której i o nich nie zapominano.

Nie będę opisywał wieczora, któremu już w poprzednim rozdziale kilka wyrazów poświęciłem. Na księżem podwórku tem się on tylko różnił, że dyszał balsamiczną wonią bożego drzewka, i tem jeszcze, że ostatni blask zachodzącego słońca padał na łysinę ojca Nikona, i łysina się świeciła, aż promienie od niej biły.

Powoli ruch zatrudnień coraz ustawał. Stróż przestał drwa rąbać, parobek bydło napoił, drób i gołębie ukryły się do snu i słońce zaszło. W tej chwili odezwała się muzyka, i wraz z pierwszemi jej akordami zjawiła się na progu Jerynka. Twarz jej wyrażała ciekawość. Wyciągnęła szyję nasłuchując i rzekła:

— O?... grają?...

— U posessora, na tłoce... — odrzekł ojciec Nikon. — Omelko kontent... otóż wyrzyna na skrzypce!... a Fed' ul naciąga...

I głaskał sobie staruszek brodę całą dłonią, co było znakiem dobrego humoru. I od czasu do czasu powtarzał:

— O toż grają... ha!...

Po chwili muzyka umilkła. Jerynka zrobiła już krok w tył, w zamiarze odejścia, lecz się zatrzymała, bo psy zaszczekały i rzuciły się do wrót, w których ukazały się trzy postacie. Ojciec Nikon zawołał na parobka:

— Pójdźno, obroń ludzi od psów!...

A do wnuczki rzekł:

— Ołeksa i jeszcze z nim ktoś... Trzeba dla nich miejsca przy stole zrobić...

Jerynka jednakże, powstrzymana ciekawością dowiedzenia się, co to za jeden, ten „jeszcze ktoś“, co z Ołeksą przychodzi, nie odeszła spełnić natychmiast rozkazu dziadka. Poczekała przez chwilkę i obecną była wymianie powitań pomiędzy gośćmi a gospodarzem, poczem stary lirnik przedstawił młodego lirnika:

— Przyprowadzam wam, dobrodzieju, lirnika ślepego, jak ja, tylko podobno trochę odemnie młodszego... Prosi się do was w gościnę...

— Prosimy...—odparł ksiądz—gość w dom, Bóg w dom... Prosimy nieznajomego, ale z nim razem i ciebieOłekso...

— Jaby to z duszy, serca wasze zaprosiny przyjął — odpowiedział Ołeksa — ale... ale...

— Ciągnie na tłokę, pomiędzy ludzi... — podpowiedział ksiądz trochę odpowiedzią zaambarasowanemu starcowi.

— Ta bo to, dobrodzieju... co tam grzech taić!... ciągnie człowieka pomiędzy ludzi...

— Ależ przecie choć trochę posiedź i odpocznij — odrzekł ksiądz — bo ty jak tam pójdziesz, to się w prysiudy puścisz...

— Hej hej!... — podchwycił stary lirnik — nie te lata, nie te siły, a choćby i lata i siły były po temu, to człek, po ciemku, w prysiudachby zabłądził i nie do dziewczyny, ale od dziewczynyby skakał... Ale ja z wami rad trochę posiedzę, bo nawet mam tu mały interes... W torbie jest u mnie gościniec dla waszej panienki.

To mówiąc usiadł na ławeczce obok młodego lirnika i począł szukać w torbie, obmacując każdy przedmiot palcami; wydobył piernik z pozłotą i wyciągnął z nim rękę.

— Oto dla Jerynki... z samego Szarogrodu.

Jerynka powoli wzięła piernik z rąk dziada, rzekła „dziękuję!“ i w głąb ciemnej sieni się usunęła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ANNA PETROWNA TARRAKANOFF.

Historya dworu moskiewskiego jest olbrzymią kroniką skandaliczną i szeregiem najpotworniejszych zbrodni. Wyuzdana rozpusta, podłe intrygi — to zajęcia codzienne, mordy—to zwyczajne uwieńczenie dzieła. Po krwawym trupie jednego cara wstępował prawie zawsze jego następca na tron i krwawą pracą starał się na nim utwierdzić. Wszystko co mogło wzbudzić cień podejrzenia w despocie, co mu mogło zatruwać plugawe rozkosze i mącić piane sny, musiało ginąć dla bezpieczeństwa i chwilowego uspokojenia cara. Nie miano względu ani na węzły pokrewieństwa, ani na płeć, ani na wiek; synowie mordowali ojców, ojcowie synów.

Tajne archiwum dworu petersburgskiego stanie się kiedyś niewyczerpanem źródłem do tej historyi, która zwierzęcem okrucieństwem przyćmi najkrwawsze karty z dziejów dynastyi francuskiej i angielskiej. Dotąd tylko przypadkowo, tylko to, co w żaden sposób utaić się nie dało, przeszło do wiadomości publicznej, ale i to wystarcza, aby wzbudzić najwyższą zgrozę i obrzydzenie.

Nie możemy tutaj rozsnuwać całej tej historyi czarnych zbrodni, która zaczyna się założeniem Moskwy, dochodzi do punktu kulminacyjnego za Iwana Groźnego, Godunowa i Dymitrów Samozwańców i płynie krwawą strugą aż do czasów Mikołaja. Jako próbkę, jako jeden z tysiąca przykładów, podajemy czytelnikom naszym dzieje życia Anny Petrowny księżniczki Tarrakanoff.

Stronnictwo staromoskiewskie wyniosło na tron w r. 1740 córkę Piotra Wielkiego, Elżbietę. Do wyniesienia Elżbiety przyczynił się niemało Aleksy Razumowski i w nagrodę zasług otrzymał łaskę nowej carycy, został jej faworytem.

Podobnie jak prawie wszyscy faworyci caryc moskiewskich, pochodził Razumowski z najniższej warstwy społecznej. Dzięki pięknemu głosowi został on z prostego kozaka spiewakiem w carskiej kaplicy. Ujmująca powierzchowność zwróciła uwagę dam dworskich na kozaka i fawory kobiét utorowały mu drogę do feldmarszałkostwa, aż w końcu stał się ulubieńcem samej carycy. Niektórzy utrzymują, że Elżbieta pojęła tajemnie za męża przystojnego Razumowskiego. Cóżkolwiekbądź, czy ten związek był prawy, czy też nieprawy, to pewna, że owocem zeń pozostało troje dzieci: dwóch synów i jedna córka. Dzieciom tym dała caryca tytuł książąt Tarrakanoff. Jeden z synów zmarł w młodym wieku, drugi był oficerem w armii moskiewskiej, córka Anna Petrowna otrzymała troskliwe wychowanie i rozwinęła się w pełną wdzięków dziewicę.

Najstarsza siostra carycy Elżbiety, nosząca tożsamo imię co księżniczka Tarrakanoff, wydana była za Karola Fryderyka, księcia holsztyńsko-gotorpskiego, któremu w r. 1728 powiła syna Piotra Elżbieta ożeniła siostrzeńca swego w r. 1745 z młodą, piękną i energiczną Katarzyną Aleksiejowną z Anhalt-Zerbst. Po śmierci Elżbiety wstąpił na tron jej siostrzeniec, jako Piotr III., ale jakoby tylko po to, aby paść ofiarą z ręki własnej żony i ustąpić jej miejsca.

Piotr, przyjaciel Fryderyka Wielkiego i Niemców w ogóle, zraził do siebie protegowaniem żywiołu niemieckiego stronnictwo ultra-moskiewskie, popów, w nawet wojsko. Idąc za przykładem przodków wiódł życie rozpustne i pozwalał też swojej żonie otaczać się adoratorami i faworytami, z których pierwszym był młody Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, poźniejszy król polski. Miejsce Poniatowskiego zajął wkrótce przystojny oficer gwardyi Jerzy Orłow, wnuk jakiegoś strelica ułaskawionego przez Piotra Wielkiego. Z pomocą Jerzego Orłowa i brata jego

Aleksego uknuła Katarzyna spisek na życie męża, na którego czele sama stanęła. Piotr III. został z tronu strącony i zamordowany, a żona jego Katarzyna II., okrzyknięta carycą przez wojsko, objęła rządy.

Jakkolwiek zaufana w swojej potędze i pewna zwycięstwa, poddała jednakże nowa carowa pod najściślejszy nadzor dzieci swojej poprzedniczki Elżbiety. Anna Tarrakanoff wychowywana była wprawdzie z największą troskliwością, ale zarazem była strzeżoną jak niewolnica. Dopiero kiedy księżniczka ukończyła rok piętnasty, pozwoliła jej Katarzyna wyjechać za granicę i osiąść na pewien czas w Wiedniu. W podróż z księżniczką wybrała się jedynie jej stara bona francuska. Anna otrzymała rozkaz, aby bez pozwolenia carycy z Wiednia wydalić się nie odważała, a posłowi rosyjskiemu przy dworze wiedeńskim polecono czuwać pilnie nad każdym krokiem księżniczki.

Pomimo całej czujności znalazł jednakże przystęp do wili, w której księżniczka mieszkała, książę Karol Radziwiłł, i wkrótce zawiązał ściślejszą z nią znajomość.

Byłoto na wiosnę r. 1769. Były faworyt Katarzyny, bagnetami moskiewskiemi na tronie polskim osadzony Stanisław Poniatowski, miał potężne stronnictwo przeciwko sobie, na którego czele stał książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński. Przemoc i intrygi moskiewskie paraliżowały wszystkie usiłowania narodowe. Po obaleniu konfederacyi radomskiej musiało opuścić kraj wielu patryotów, Radziwiłła dobra zostały skonfiskowane, a on sam zabrawszy co mógł w gotowiźnie, uszedł do Austryi. Poznawszy w Wiedniu księżniczkę Tarrakanoff wpadł książę na myśl użycia jej jako broni przeciwko carycy Katarzynie. Książę wiedział bowiem, że znaczna część ultra-rosyjskiego stronnictwa powitałaby z największą radością Annę Tarrakanoff, gdyby ta jako wnuka Piotra Wielkiego z pretensyami do korony przeciwko Gottorpom wystąpiła. Plan Radziwiłła powiódł się w początku wybornie.

Udaną czy prawdziwą miłością pozyskał on wzajemność i zaufanie Anny, uwierzyła jego przysiędze, że się z nią ożeni i wyniesie ją do blasku i potęgi. Anna dotąd wesoła i swobodna, stała się zamkniętą w sobie, podejrzliwą względem wszystkich, skrytą, podstępną, a posłuszną jedynie radom Radziwiłła. Wkrótce uszła też z Radziwiłłem z Wiednia i oboje udali się do Rzymu, gdzie najbezpieczniejsze dla siebie upatrywał Radziwiłł schronienie, gdyż stolica apostolska była wówczas w nieprzyjaźnych z Katarzyną i Orłowem stosunkach.

Oczywista rzecz, że ucieczka Anny nie pozostała długo tajemnicą dla dworu petersburgskiego. Poseł rosyjski w Wiedniu doniósł o niej niezwłocznie Katarzynie, która w przebiegłym umyśle swoim wynalazła niezwłocznie środki sparaliżowania całego planu. Caryca liczyła na słaby charakter księcia i na jego rozrzutność, która wkrótce wyczerpie niewielki kapitał, który Radziwiłł z rozbicia olbrzymiej fortuny swojej uratować potrafił. Obliczenia carycy nie zawiodły.

Radziwiłł zająwszy z księżniczką odpowiednie przyszłej jej godności pomieszkanie przy ulicy Ripetta, zawiadomił zaraz nietylko stronników swoich w Polsce, lecz i malkontentów pomiędzy bojarami moskiewskimi o zamiarze uknucia spisku w celu wyniesienia na tron Anny Petrowny Tarrakanoff. Tymczasem dwór petersburgski otoczył oboje ajentami i szpiegami i nie mogąc przemocą dostać w ręce Anny, wyczekiwał stosownej chwili, aby ją zgubić podstępem.

Niebawem poczęły się wyczerpywać zasoby Radziwiłła i książę popadł w długi. Właśnie w najkrytyczniejszej chwili stawił się przed nim ajent moskiewski z propozycyą zwrócenia mu wszystkich dóbr pod warunkiem, żeby Annę Moskwie wydał. Książę zrazu oburzył się na tak nikczemną propozycyę, ale w końcu przystał na warunki podyktowane przez carycę. Pod pozorem uporządkowania swoich interesów finansowych pożegnał Annę i opuścił Rzym, wrzekomo na czas krótki, w istocie zaś z zamiarem niewracania doń więcej. Anna została sama, aby nigdy w życiu nie ujrzeć już swojego mniemanego zbawcę.

Długie miesiące łudziła się Anna nadzieją powrotu Radziwiłła, ale w końcu zgasł ostatni promyk i nie można się było dłużej uwodzić. Niedostatek rozpędził służbę, świetne apartamenta trzeba było porzucić, wszyscy ją odstąpili, tylko jej wierna bona francuzka pozostała przy niej, gotowa podzielać z nią najsmutniejszą dolę. Jakoż istotnie czekały ją bardzo przykre próby. Przy pomocy poczciwej bony zaczęła Anna życie, do jakiego nigdy nie była przyzwyczajona, jakie jej się w najstraszniejszych snach nigdy nie przedstawiło. Sprzedała wszystkie swoje klejnoty, sprowadziła się do nędznej izby przy jednej z ustronnych ulic i wraz z towarzyszką utrzymywała się z pracy rąk.

W ukryciu, śród pracy mijały dnie i Annie zdawało się, że świat cały o niej zapomniał. Tak jednak nie było. Pamiętała o niej Katarzyna. Dumnej carycy nie dosyć było tego upokorzenia, tej nędzy, w której pokutowała biedna dziewczyna za krótką chwilę marzenia o koronie. Zemście tygrysiego serca trzeba było jeszcze więcej. Jakoż otaczały Annę szpiegi moskiewskie i Orłow, kochanek carycy, gotował jej straszniejszy los nad wszystko, co dotąd przecierpiała.

Pewnego dnia przedstawił się jakiś człowiek w mundurze kapitana marynarki rosyjskiej i powitał ją z oznakami najwyższej czci, jako córkę carycy Elżbiety. Nieproszony gość nazwał się Ribas i oświadczył, że niezłomne przywiązanie do świętej pamięci carowej sprowadza go w ubogie progi jej córki, aby jej obwieścić z polecenia hrabiego Aleksego Orłowa, admirała floty rosyjskiej na Archipelagu,

że uzurpatorka Katarzyna nie utrzyma się długo na nieprawnie przywłaszczonym sobie tronie, i że jej miejsce zajmie wkrótce w Carskim Seli Anna Petrowna. Opowiadał dalej Ribas, że obaj bracia Orłowy, którym Katarzyna zawdzięczała swoje wyniesienie, oburzeni jej niewdzięcznością, uknuli spisek w celu strącenia Katarzyny, a osadzenia na tronie Anny, jako pochodzącej z domu Romanowów. stwa, blask orderów, wytworne zachowanie się, to wszystko olśniło księżniczkę, i Orłow pozyskał prędko nietylko zupełną ufność młodej Anny, lecz owszem nawet jej serce. Nienauczona jeszcze zdradą Radziwiłła rzuciła się Anna w objęcia admirała, widząc w nim zbawcę zesłanego jej przez opatrzność, i ani pomyślała, że Orłow tylko skutkiem tajemnego polecenia carycy przybył na Wiedeń do Włoch,



Zgon księżniczki Anny Tarrakanoff (str. 74.)

Anna patrzyła w początku z podejrzliwem niedowierzaniem na Ribasa, ale w twarzy jego malowała się taka otwartość i szczerość, że po niejakim czasie nabrała doń zaufania, a osobiste pojawienie się Orłowa usunęło w końcu wszelki cień wątpliwości.

Orłow potwierdził wszystko, co powiedział Ribas. Jego piękna postawa, sława świeżo odniesionego zwycięaby ją zdradzić i wydać w ręce pałającej zemstą Katarzyny.

Nie zbywało wprawdzie na powodach do podejrzeń. Ostrzegano Annę nawet listem bezimiennym o grożącem jej niebezpieczeństwie, ale przebiegły Orłow umiał zręcznie odwrócić wszelki cień wątpliwości i przywiązywał do siebie Annę coraz gorętszą, coraz namiętniejszą miłością. Na

ostatek, aby dać Annie dowód swego szczerego przywiązania i najlepszych zamiarów, prosił ją o jej rękę i otrzymawszy jej słowo tegoż dnia zaraz wziął z nią ślub w obecności grecko-katolickiego księdza i notaryusza. Po ślubie przeniosła się Anna do pałacu Orłowa na placu hiszpańskim i przedstawiła się światu jako hrabina Orłow.

Z Rzymu wyjechali małżonkowie do Pizy, a wkrótce potem do Livorno, dokąd była przybyła eskadra rosyjska pod kontradmirałem Greigh. Anna zamieszkała tam w hotelu angielskiego poselstwa, Orłow udał się na statek admiralski. Pani Dyck, żona konsula angielskiego, i pani Greigh uprzyjemniały Annie chwile pobytu w Liworno, które niestety miały być ostatniemi chwilami szczęścia w jej życiu.

Pewnego dnia oświadczyła Anna mężowi, że chciałaby oglądnąć flotę. Orłow przyrzekł jej to z największą radością. Na flocie rosyjskiej robiono przygotowania na jej przyjęcie. Pewnego popołudnia w pogodny dzień późnej jesieni przybiły świetnie przystrojone łodzie do brzegu, aby przewieść Annę na statek admiralski. Hrabinie towarzyszyło kilka dam, tylko jej poczciwa bona pozostała na brzegu i nie dała się nakłonić do wstąpienia na pokład rosyjskiego okrętu, gdzie sięgała już władza carycy. W porcie zebrał się tłum ludzi. Z okrętów zagrzmiały salwy działowe i ozwała się muzyka. Po chwili całe towarzystwo wśród okrzyków majtków w galowych uniformach stanęło na pokładzie statku admiralskiego. Orłow podał Annie rękę, aby ją sprowadzić do kajuty. Nie przeczuwając bynajmniej co ją czeka, zstąpiła Anna przy boku męża po schodach w głąb statku. W tem nagle odwróciwszy się, spostrzegła, że jest samą z Orłowem tylko, i że reszta towarzystwa pozostała na pokładzie. Na zapytanie Anny, dla czego nikt więcej nie idzie z nimi, nie dał Orłow żadnej odpowiedzi. Anna wzdrygnęła się złowrogiem tknięta przeczuciem. Orłow pociągnął ją gwałtem za sobą i otwierając nagle drzwi kajuty rozkazał jej wejść groźnym głosem. Anna zdrętwiała spostrzegłszy w kajucie kilku żołnierzy i majtków, w których rękach brzęczały kajdany. Anna pojęła teraz, że padła ofiarą najczarniejszej zdrady. Niestety było to już za poźno!

„W imieniu carowej Katarzyny, mojej najjaśniejszej pani, aresztuję cię Anno Tarrakanoff“ — zawołał surowo Orłow i niezwłocznie kazał nieszczęśliwą zakuć w kajdany.

Anna odwoływała się do tego, że jest jego żoną i błagała o litość.

„Mylisz się Anno Tarrakanoff — odpowiedział sucho Orłow — Orłow nie mógł się ożenić z kobietą, która się dopuściła zdrady majestatu. Nasz ślub jest bez żadnego znaczenia. Ów ksiądz i notaryusz bylito tylko przybrani słudzy moi.“

Po tych słowach Orłow wyszedł i nigdy już więcej nie widziała go Anna.

Po kilkotygodniowej podróży zawinięto do jednego z portów przy Morzu Czarnem. Ztamtąd odstawiono Annę do Petersburga. Zabłysnął jej jeszcze ostatni promyk nadziei. Spodziewała się, że będzie mogła widzieć carowę i błagać ją o łaskę. Stało się jednak inaczej, do Katarzyny jej nie przypuszczono i bez żadnego przesłuchania wtrącono do jednego z najgłębszych więzeń twierdzy Kronsztadtu.

Lat kilka przejęczała Anna w więzieniu nie widząc świata i ludzi. Jedynym jej gościem był nadzorca więzienia, który codziennie przynosił jej nędzną żywność, i komendant twierdzy, który od czasu do czasu przychodził się przekonać czy Anna jeszcze żyje. Własny jej ojciec wyrzekł się jej i nie miał nad nią litości. W końcu ulitowało się niebo nad nieszczęśliwą.

We wrześniu r. 1777 skutkiem wielkiej burzy morskiej wezbrała Newa tak gwałtownie, że stan jej wody wzniósł się o 10‘ wyżej. Tysiące ludzi znalazły wówczas śmierć w wezbranej rzece. Powódź dosięgła i celi więziennej nieszczęśliwej Anny. Wody wdarły się do wnętrza i zatopiły więzienie. Na ratunek biednej księżny nikt nie pospieszył — może w powszechnej trwodze zapomniano o niej, o może umyślnie zostawiono ją bez ratunku, aby rozhukany żywioł oszczędził pracy katom. Anna Petrowna utonęła.

L. T.

O ZJAWISKACH METEORYCZNYCH

I ICH SPOSTRZEGANIU.

Wszystkie zjawiska w przyrodzie odbywają się podług stałych i niezmiennych ustaw. Ciała niebieskie wykonują swe ruchy podług zasad mechaniki z ścisłą koniecznością i największą dokładnością; połączenia chemiczne zawsze i wszędzie tym samym podlegają prawidłom; postacie, w których minerały krystalizują się, równie nie zależą od przypadku, lecz są wynikiem konieczności. W świecie organicznym wzrost i rozwój roślin i zwierząt odbywa się także wedle prawideł, które we wszystkich czasach i na wszystkich miejscach ziemi są te same.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, jakoby zjawiska meteoryczne od tej ogólnej prawidłowości stanowiły wyjątek.

Podczas gdy obroty ciał niebieskich podciągnęliśmy pod ścisły rachunek, gdy zdołamy na wiele lat naprzód oznaczyć miejsca, które w pewnym czasie ciała niebieskie zajmować będą w przestrzeni wszechświata, i tym sposobem obliczyć zaćmienia słońca, księżyca, trabantów Jowisza i Saturna, któreto obliczenia następnie zawsze przez spostrzeżenia się potwierdzają; podczas gdy z zupełną pewnością wiemy, jakie ciała powstają z połączenia chemicznego pewnych pierwiastków i w jakich postaciach skrystalizują się pewne minerały: przedstawiają nam zjawiska meteoryczne tyle nieprawidłowości, niepewności i zmienności, że nie jesteśmy w stanie na 24 godzin naprzód przepowiedzieć stanu pogody, a meteorologia pomiędzy wszystkiemi działami umiejętności przyrodniczych jest najmniej rozwiniętą. Ta nieprawidłowość procesów meteorycznych jest jednakowoż tylko pozorną. Uważniejsze przypatrywanie się tym zjawiskom przekonywa nas, że one także podlegają równie ścisłym i niezmiennym ustawom, jak wszystko inne w przyrodzie. Przyczyna, dla której zjawiska meteoryczne zdają nam się być mniej podlegającemi stałym ustawom, równie jak przyczyna tego w porównaniu z innemi oddziałami umiejętności przyrodniczych poźnego rozwoju meteorologii leży w tem, że warunki, od których zawisły zmiany meteoryczne, nie są ograniczone pod względem miejsca i czasu, ale są rozłożone po całej powierzchni ziemi i na większy obszar czasu, że więc materyał, z którego może powstać budynek umiejętnej meteorologii, nietylko musi być bardzo obfitym, lecz także zbieranym na bardzo wielu miejscach powierzchni ziemi i w przeciągu długiego czasu. W zakres meteorologii bowiem wchodzą spostrzeżenia tyczące się rozkładu ciepła na powierzchni ziemi, ciśnienia atmosfery, kierunku i siły prądów powietrznych, wilgoci i elektryczności atmosferycznej, ilości deszczu i śniegu, i magnetyzmu ziemskiego. Pod względem rozkładu ciepła na powierzchni ziemi usiłowania ku temu skierowane być muszą, aby w ile możności wielu miejscach w najrozmaitszych okolicach świata zbadać średnią ciepłotę tak całego roku jak i pojedyńczych miesięcy, i poznać zmiany w tym względzie zachodzące. Do tego jednak nie wystarcza, spostrzegać stan i zmiany ciepłoty w przeciągu jednego tylko roku, lecz spostrzeżenia te muszą być czynione przez większą ilość lat, gdyż tylko w tym razie liczby, oznaczające średnią ciepłotę jakiegoś miejsca, mogą być prawdziwemi, i poznane mogą być dokładnie zmiany zaszłe w stanie średniej ciepłoty jakiegoś miejsca lub okolicy. Tak samo ma się rzecz ze spostrzeżeniami tyczącemi się ciśnienia i prądów powietrza, wilgoci atmosferycznej, jakoteż ilości opadów atmosferycznych.

Działanie magnetyzmu ziemskiego tak pod względem jego kierunku, jako też i siły objawia się w zmianach stanu igły magnesowej inklinacyjnej i deklinacyjnej, a spostrzeżenia w tym względzie mają na celu, dać dokładny obraz tych zmian tak co do miejsca jak i czasu.

Do osiągnięcia tych właśnie wymienionych celów, urządzone zostały w ostatnich kilku dziesiątkach lat prawie we wszystkich cywilizowanych krajach liczne stacje meteorologiczne. W tych stacyach odbywają się regularnie w pewnych godzinach każdego dnia spostrzeżenia wszystkich wyżej wymienionych zjawisk meteorycznych, a spostrzeżenia te stanowią materyał do umiejętnej meteorologii.

Kraje zachodniej Europy i północnej Ameryki wyprzedziły jak w każdym, tak i w tym względzie o wiele naszą ojczyznę. Stacje meteorologiczne wyposażone dokładnemi i często kosztownemi przyrządami, któremi te kraje są jak gdyby zasiane, dają piękne świadectwo, o ile tam już poznano, jaką wartość nietylko pod względem czysto-naukowym, ale też i praktyczno-utylitarnym ma umiejętne zbadanie przyrody, i jak wielce zawisłemi są losy narodów od przyrody krajów, przez te narody zamieszkanych.

Robienie spostrzeżeń meteorologicznych jest jednakowoż bardzo żmudnem i uciążliwem, gdyż wymaga ono ze strony spostrzegaczy nietylko wielkiej uwagi i dokładności, lecz zabiera także wiele czasu. Dla ułatwienia tej pracy urządzone zostały w nowszych czasach w niektórych miejscach Europy i Ameryki tak zwane meteorografy t. j. przyrządy, które zmiany meteoryczne w ciągu dnia zachodzące same spisują. Spisywanie to dzieje się albo sposobem mechanicznym albo elektrycznym albo fotograficznym.

Na wystawie powszechnej w Paryżu w roku 1867 wzbudzał ogólną uwagę meteorograf, urządzony przez ks. Secchi, dyrektora spostrzegalni astronomicznej w „Collegio romano“ w Rzymie. Meteorograf ten wszystkie zmiany meteoryczne sposobem mechanicznym sam spisuje, i zaprowadzony już jest w dwóch miejscach, tj. w Rzymie i Paryżu. W innych miejscach urządzone są meteorografy elektro-magnetyczne. Między wszystkiemi jednak meteorografami pierwsze miejsce pod względem dokładności zajmują meteorografy fotograficzne. Jeden z najznakomitszych tego rodzaju przyrządów istnieje w Kew, wsi dwie mil od Londynu odległej, sławnej oprócz tego z swego ogrodu botanicznego, który to przyrząd będziemy się starali następnie opisać.

W pośrodku parku, przytykającego do ogrodu botanicznego, stoi pojedynczy budynek. Z przedpokoju tego budynku schodzi się po kilku stopniach do sali, do której światło dzienne tylko przez żółte szyby ma przystęp. Szyby okien dlatego są ze szkła żółtego, aby nie dopuszczały promieni chemicznych (zielonych, niebieskich, fio-

letowych i zafioletowych) znajdujących się w świetle słonecznem, któreby szkodliwy wpływ na papier fotograficzny wywierały. W tej sali ustawione są przyrządy w następujący sposób:

Przed fotograficzną ciemnią (kamerą-obskurą) stoi ciepłomierz oświetlony białym płomieniem lampy. W tylnej nieprzezroczystej ścianie ciemni znajduje się szpara, po za którą za pomocą przyrządu zegarowego, przesuwany bywa z jednostajną prędkością papier fotograficzny. Na tym papierze wykreślona jest sieć z linii poziomych i pionowych, z których pierwsze oznaczają stopnie ciepłoty, drugie zaś godziny dnia. Górna część rurki ciepłomierza, do której rtęć nie sięga, przepuszcza promienie lampy, w skutek czego czerni się dolna, tj. ta część papieru fotograficznego, którą te promienie trafiają, gdy przeciwnie górna część tego papieru, od której rtęć ciepłomierza promienia lampy wstrzymuje, pozostaje białą. Gdyby papier pozostał nieruchomym, odfotografowałaby się na nim czarna kresa, której koniec oznaczałby na podziałce stopień ciepłoty w chwili spostrzeżenia. Gdy jednak papier się przesuwa i zawsze inne części tegoż przychodzą za szparę i trafiane bywają przez światło, przeto czerni się cała dolna część papieru, a linia graniczna między białą i ciemną częścią oznacza stan ciepłoty w czasie spostrzeżenia. Przypuściwszy, że w ciągu pewnego czasu stan ciepłoty się nie zmieni, w tym razie linia ta będzie prostą, w przeciwnym zaś krzywicą, a postać tej krzywicy wykaże na podziałce, wykreślonej na papierze, przebieg zmian ciepłoty w ciągu całego czasu, przez który przyrząd ten był w ruchu.

W podobny sposób fotografują się także zmiany ciśnienia powietrza i wilgoci atmosferycznej za pomocą barometru i wilgociomierza.

Zmiany w kierunku magnetyzmu ziemskiego objawiają się zbaczaniem i nachylaniem cienkich prętów magnesowych, które się około pionowych lub poziomych osi łatwo poruszają. W celu odfotografowania tych zmian przytwierdzone są do końców tych pręcików magnesowych małe stalowe zwierciadełka. Światło lampy skupione przez soczewkę pada na takie zwierciadełko, przez które odrzuconem zostaje na papier fotograficzny wyżej opisany, obwinięty na cylindrze, przez przyrząd zegarowy w ciągu 24 godzin raz około swej osi obracanym. Gdyby stan igły magnesowej się nię zmieniał, toby promienie lampy, skupione przez soczewkę w jeden punkt na powierzchni cylindra, wykreśliły na papierze linię, któraby się po zdjęciu papieru z cylindra prostą okazała. Jeżeli zaś stan igły magnesowej się zmienia, wtenczas zwierciadełka odrzucają światło w innym kierunku, punkt skupienia światła zmienia swe miejsce na papierem obwiniętej powierzchni cylindra, i w skutek obrotu tegoż cylindra około swej osi wykreśla krzywicę, oznaczającą na podziałce papieru zmiany zboczenia lub nachylenia igły magnesowej, a przez to zmiany w kierunku działania magnetyzmu ziemskiego.

Oś cylindra przyrządu deklinacyjnego jest pozioma, inklinacyjnego zaś, pionowa.

Podobne spostrzegalnie jak w Kew, są także w Greenwich, w Paryżu, Lizbonie, Madrycie, Florencyi i Washingtonie.

Meteorografy są to więc przyrządy, które zasady meteorologii bez przerwy spisują. Tę pracę dać wykonywać ludziom, znaczyłoby poniżać ludzi na maszyny. Czyż więc nie lepiej ludzką pracę dać sprawować maszynom, niżeli przeciwnie obarczać ludzi pracą maszynową?

W państwie moskiewskiem aż w głąb Syberyi robią na podrzędnych stacjach meteorologicznych spostrzeżenia inwalidzi wojskowi, a jeżeli źle spostrzegają, otrzymują za to — pałki; meteorograf zaś niepotrzebuje zachęty moskiewskiej. W Polsce austryackiej bardzo mało dla meteorologii zostało zdziałanem. Z wyjątkiem Krakowa, gdzie w spostrzegalni astronomicznej odbywają się także spostrzeżenia meteorologiczne, nie istniała aż do najnowszych czasów ani jedna stała stacja meteorologiczna, a spostrzeżenia w niektórych miejscach kraju, między innemi także we Lwowie, przez osoby prywatne często bez znajomości rzeczy i niedokładnemi przyrządami robione, nie wielkie dla umiejętności mogły przynieść korzyści. Dopiero w ostatnich latach komisya fizyograficzna, zawiązana staraniem towarzystwa naukowego krakowskiego, zajęła się więcej tą sprawą i urządziła w wielu miejscach naszej prowincji stacje meteorologiczne. Żałować tylko należy, że zasoby pieniężne, któremi kraj nasz w tej chwili na ten cel rozporządzać może, są zbyt małe i niewystarczające. Jednakowoż jest nadzieja, że z wzrastającem u nas poznaniem ważności nauk przyrodniczych, wzbudzi się w naszym kraju także większe zajęcie się sprawami tych nauk dotyczącemi, a wtenczas znajdą się także zasoby na cele umiejętne, i kraj nasz pod względem zakładów, mających na celu wspieranie umiejętności przyrodniczych, nie pozostanie długo w tyle po za innemi.

Ludwik Wierzejski.

RAUDAS ŻAMAJCZIU.

(SKARGA ŹMUDZINÓW.)

PRZEZ WŁODZIMIERZA WOLSKIEGO.



I.

Spi ciche sioło, w bory otulone...
Bój męczenniczy kona już dokoła;
Ale powstańcy nie weszli w tę stronę,
Choć za nich modlą się po chatach sioła,
Bo — wbrew podchwytnym obiecankom Cara —
Wiąże ze swymi krew, serce i wiara.

Bo gdy w zamierzchłe to ustronie Żmudzi
O walkach z Moskwą dobieży wieść głucha:
W przygasłem chłopków oku żar się budzi,
Iskrą płomienną z źrenicy wybucha,
Jakby we wrogów pierś mierzyli kosę —
A wkoło płaczą dziéwki jasnowłose.

Spi ciche sioło marząc, czy o świcie
Bóg ześle słotę lub słonko zapali?
Noc ciemna wdziała szarej mgły okrycie...
Wtem psy zawyły — i oddział Moskali
Wysunął z boru jak dzik z trzęsawiska,
Przystanął, kłami bagnetów zabłyska.

— Rebiata! spędzić mi z chat wszystkich chłopów,
Kolb i nahajek wsypać dobrą miarę —
Ciemno! zapalić chat i stodół parę —
I do płomieni nie żałować snopów!

Kazał oficer.

Dla carskiej rebiaty
Mordować spiących, bezbronnych — to święto!
Dziki śmiech z jękiem wstrząsnął wszystkie chaty.
Jakby psów sfora, szczuta krwi zachętą,
Pędzą w pół-nagich, zwleczonych z pościeli,
Co się tak nagle i krwawo ocknęli,
Mężczyzn, niewiasty, starców, drobne dzieci —
A pożar z czterech rogów sioła świeci.

— Księdza, powstańca skryliście, zbrodniarze!
Wrzasnął oficer, krwawiąc ludziom twarze.

Próżno zaklina się trwożna gromada,
Próżno mu niewiast kilka do nóg pada.

— Milczycie? Dawać tu pałki i pletnie!
Zaraz się język buntowników przetnie.
Baby pletniami, a na chamów pałki.
Zimno! Rebiata palnijcie gorzałki!

Ciało w kawały rwą pałki i pletnie,
Lecz nic nie wiedząc, biedni męczennicy
Jękami tylko mówią.
— Szubienicy
Na buntowników! Ot, ich krzyż w pobliżu,
Będziemy wieszać psów na ich psim krzyżu! —
Pieniąc się, wołał do rycerskiej roty
I do kozaków porucznik piechoty.

— Hurra! — ochoczo rebiata wrzasnęła.
Żwawo się bierze do oprawców dzieła;
Już stryczek wisi na krzyża ramieniu,
A jęk i pożar huczy w nocy cieniu.

II.

Gdzie bór pomyka aż do wioski łanów,
Wysoki człowiek darł się przez gęstwinę,
Z pod jego szaty brunatnych łachmanów
Trąciła czasem szabla o choinę.
Słysząc jęk biednych i okrzyki dziczy,
Patrząc na pożar, zawołał w goryczy:

— Jeżeli dla nas niezrządziłeś cudu,
Jeźliś nas rzucił znów pod stopy wroga,
Z mąk naszych kiedyś wejdzie wolność ludu...
Lecz na maluczkich biedaków w siermiędze
Czemu zesyłasz naszych męczarń nędzę?
Czy tylko krwawych ofiar jęk Ci miły,
Jak starym bożkom, co w tych lasach żyły?

Biedna na Litwie dziatwa chrześciańska,
Którą rozciągasz na męczarni łoże,
Czyli ma wierzyć, ze Cię moc szatańska
Już zwyciężyła, nieśmiertelny Boże?
Bo gdy jej przodków krwawe bożki wiodły,
Bój bywał krwawszy, lecz wróg nie tak podły.

Groźną szarańczą szły hordy Mongoła,
Podstępne Niemce kłamiąc wiarę zbawcy,
Grabili nasze osady i sioła
Jak wrogi — zbójcy, ale nie oprawcy.

Jęk był znów straszny i rąk załamanie,
Gdy za Twą wiarę wrzała walka święta,
Gdy krwawym szlakiem gnali Muzułmanie,
Wrogi — mordercy, ale nie zwierzęta,
Którym tak dawno do krwawej paszczęki
Ciskasz nas, patrząc spokojnie na męki.

Skardze goryczy, co mi z ust wypadła,
Wybacz! bo żmija bolu serce ściska.
Wiem, że mnie pewno szuka dzicz zajadła,
I za mnie cierpią niewinni ludziska.
W borach tych carskie psy mnie już stropiły —
Wybacz mi panie! Ja pójdę, daj siły!

III.

— Unteroficer! zaczniemy od dziada!
Będziesz mu brodę po włosku wyrywał,
A gdyby jeszcze dziad nic nie wyśpiewał,
Bierz go na stryczek, wnuczka się wygada;
Choć blada, chuda, przyłóż jej nahajki
Ostro — a teraz daj ognia do fajki! —
Unteroficer miał w tych dziełach wprawę,
Lecz gdy mu na dłoń z siwych włosów pękiem
Krew zabryzgnęła, gdy z nieludzkim jękiem
Zemdlony starzec upadł na murawę,
Kat wspomniał chatę rodzinną daleko...
I na jej przyzbie własnego rodzica
Z takimże włosem bieluchnym jak mleko,
Z takąż zadumą zgrzybiałego lica —
Więc zadrżał, zimny pot z czoła ociera,
Opuścił ręce w osłupieniu głuchem...
Porucznik za to dał mu w twarz cybuchem,
Aż zbił trzy zęby unteroficera.

Na miejsce jego wbiegł kozak opiły,
Z bydlęcym śmiechem schyla się ku ziemi,
Lecz już trup tylko z oczyma szklistemi
Leżał tam sztywny, krwawe łzy broczyły
Lice i świtę... Kozak stryczek wkłada
Na szyję trupa.
Nagle wystrzał pada
Blizkiej pikiety — i człowiek wysoki
W łachmanach, blady, pospiesznemi kroki
Idzie od krzyża.
— Hej rebiata do mnie!
Zasadzka! Wszyscy stać w wojennym szyku! —
Zmieszany Moskal wołał nieprzytomnie.

— Sam jestem, nie drzyj carski rozbójniku.
Księdza — powstańca w tych borach szukacie,
Coście go wczoraj przy spalonej chacie
Spotkali — lecz wam zniknął w oczerecie...
Jam ów ksiądz, próżno tutaj mordujecie
Niewinnych ludzi.

— Jak przed sądem Boga
Za chwilę pewno z ciała się wyzwolę,
Przysięgam, nigdym nie postał w tem siole.
Jam wasz wróg—mnie więc morduj jako wroga,
Wszak tylu lepszych padło dla swobody,
Lecz nie męcz biednych, nie pal im zagrody!

W oku Moskala zabłysły pochodnie
Dzikiej radości — tak patrzy złoczyńca,
Kiedy bezkarnie może spełnić zbrodnię,
Wilk musi patrzyć, kiedy śród gościńca
Ujrzy za końmi opóźnione źrebię.
Połknął dym z fajki, rozśmiał się do siebie...
W myśli mu awans kapitański tańczy,
Gratyfikacya, Anna trzeciej klasy.

— Nu, tyś się poddał sam, pan ksiądz powstańczy,
I rzadko spotkać w te wojenne czasy,
Takiego jak wy sprytnego człowieka —
Rzekł, kiedy księdza trzymano z daleka.
— Chcesz się poświęcić za chłopów, ty sztuka
Harda; lecz mnie twój wybieg nie oszuka.
Żeś w siole niebył, wierzę, ale wiedział,
Bratku, ktoś z sioła, co ty w boru siedział.
Ja rozkaz spełniam, sioła nie wybawię,
Na popiół spalę, zamęczę gromadę...
Słuchaj — rzekł ciszej — wiem jedyną radę:
Chyba że zechcą przejść na prawosławie.
Ty nie, bo ty masz serce niezachwiane,
Ale wpłyń na nich, gdy przysięgę złożą,
Przygasim pożar, pletni zaprzestanę,
I może tobie — za pomocą Bożą —
Los twój osłodzę — czestne słowo — księżę!
Ksiądz żywo odparł:
— Gromada przysięże!
I wraz do ludu po żmujdzku zaczyna:
— Słyszycie, bracia, tego poganina,
Jak na niedolę naszą plwa bluźnierca,
Jak bluzga błotem w Zamajtysów serca?

— Wszak przysięgacie, że choćby katuszy
Przestali wrogi, sypali wam dary,
Nieodstąpicie ojców waszych wiary,
Plugawym popom niesprzedacie duszy?

— Wszak przysięgacie, że w mękach nad siły,
Tak się przed katem z trwogi nie poniżem,
Abyśmy gardząc naszemi mogiły,
Mieli się modlić przed moskiewskim krzyżem?
Wszak przysięgacie? —
Słychać ciche szmery,
Lecz wraz przy ognia skwierczącym hałasie,
Zabrzmiał głos ludu zbolały lecz szczery:
— Tak! przysięgamy, ojcze Kunigasie!

— Co, księżę, szczekasz czartowskiem narzeczem?
Wrzasnął porucznik, co nieco po żmudzku
W końcu zrozumiał.—Gdy niechcesz po ludzku,
To ciebie, zwierzę, z chłopami zawleczem
Do Murawjewa, on dobrze zapłaci
Za to kazanie do Żmudzinów braci.
I ja też trzymam się jego zwyczajów:
Rebiata! Sypnąć mu pięćset nahajów! —
A ksiądz się modlił cicho:
— Przez dni cztery
W ustach nie miałem nic prócz wody z strugi,
Jak wątłe drewno pod cięciem siekiery,
Jeźli osłabnie ciało twego sługi —
I będę błagał miłosierdzia katów...
Panie! Twym duchem ożyw słabość ciała! —

Nagle wyrywa się zpośród sołdatów,
Siły w rozpaczne łącząc wysilenie;
Gdzie blizko chata płomieniem buchała,
Pobiegł mdlejący i skoczył w płomienie,
I jeszcze z sykiem poruszonych węgli
Brzmiał głos: Pomnijcie, żeście mi przysięgli!

IV.

Za pożegnanie z czynem kapitańskim,
Gratyfikacyą i Anną w petlicy,
Porucznik krzywiąc twarz śmiechem szatańskim,
Wrzasnął: — Zapłacę ja wam, buntownicy!
Hulać rebiata — na cześć Murawjewa —
Hurra Murawjew, świętej Rusi słońce!

Przerażający płacz niewiast się zlewa
Z ponurym jękiem ludzi, których dońce
W płomień rzucają, z płaczliwemi krzyki
Dzieciątek, które wdzierają na piki.

V.

...W dalekie strony zagnali gromadę.
Wicher szczątkami zgorzelisk pomiata;
Gdzie gwarne sioło, dziś pustkowie blade,
Gdzie żyzne pole, stepu łysa szmata,
Blizna jałowa śród borów zieleni —
Straszna, kiedy ją słońce opromieni,
Straszna, gdy kruków i wron stada całe
Kraczą dziękczynną cześć Murawiewowi
Za świeże trupy, gdy wilki zgłodniałe
Wyjąc po nocy, krążą wśród pustkowi;
Straszniejsza, kiedy lud z pobliskich włości
Patrzy na zgliszcza ze łzami wściekłości...

HIPOLIT CEGIELSKI.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Wśród anormalnych stosunków, w jakich kraj nasz się znajduje, znakomite jednostki większy wpływ wywierają na ogół naszego społeczeństwa, niż gdziekolwiek indziej. W krajach wolnych, w krajach, w których rząd idzie ręka w rękę z narodem, w których rząd reprezentuje ducha narodowego, maszyna instytucji społecznych raz w bieg wprowadzona nie stawa nawet za ubytkiem jednego z ważniejszych kół lub sprężyn maszyneryi, w miejsce ubywającej nowa wstawia się część, a całosc tym samym co dawniej posuwa się biegiem. Gasną więc znakomite jednostki wprawdzie z żalem i smutkiem ogółu, lecz z mniej dotkliwą dla niego stratą. U nas inaczej, u nas, gdzie całe niemal życie narodowe opiera się na siłach i dążnościach prywatnych, strata każdej osobistości, która wznieść się umiała nad ogół, która zbawienny wpływ wywierała na otoczenie, która życie, zdolności, majątek poświęcała dla sprawy narodowej, która bystrem i przenikliwem okiem ocenić umiała sytuacyą i potrzeby nasze, u nas strata osobistości takiej jest klęską niepowetowaną. Klęską taką dla Wielkopolski w szczególności a dla całego naszego kraju w ogólności jest zgon Hipolita Cegielskiego. Śmiało powiedzieć możemy, że gdyby nas kilka miesięcy temu był kto zapytał, czyja śmierć najboleśniej dotknąć może sprawę narodową w prowincyi, wystawionej na ciągłe a tak silne parcie germanizacyi, bylibyśmy bez wahania odpowiedzieli: śmierć Hipolita Cegielskiego, a bylibyśmy pewni, że nikt w Wielkopolsce nie byłby nam zaprzeczył, bo zgon ś. p. Hipolita jest bez wątpienia największą stratą, jaką Wielkie Księstwo Poznańskie chwilowo przez śmierć jednego człowieka ponieść mogło.

Nie miejsce tutaj do kreślenia specyalnej biografii zbyt wcześnie zgasłego znakomitego męża, chcielibyśmy tylko choć w krótkich słowach nieświadomym i oddalonym od pola działalności jego rodakom wskazać, jakie w sprawach prowincyi Wielkopolskiej stanowisko zajmował zmarły niedawno ś. p. Hipolit.

Urodzony z niezamożnych rodziców dnia 6. stycznia 1815 r. w Ławkach w powiecie mogilnickim Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Hipolit Cegielski od najmłodszych lat walczyć musiał z trudnościami, jakie się nastręczają każdemu człowiekowi, poświęcającemu się zawodowi naukowemu a pozbawionemu środków materyalnych. Po tysiącznych trudach i mozołach przebywszy z odznaczeniem o własnych nieomal siłach szkoły trzemeszeńskie a później poznańskie, w roku 1835 udał się na uniwersytet berliński, z zamiarem poświęcenia się studyom filologicznym, do których od młodych lat czuł skłonność wewnętrzną. Z zapałem, z zamiłowaniem nauki i wielką pilnością łącząc zdolności, któremi go Bóg sowicie obdarzył, młody uczeń filologii mimo częstych ubocznych zajęć, do jakich go zmuszał smutny stan jego funduszów, mimo ciężkiej choroby, która na długi czas na łoże boleści powaliła walczącego z troskami materyalnemi młodzieńca, jednak w niespełna czterech latach ukończył z chlubą nauki uniwersyteckie, pozyskawszy na uniwersytecie berlińskim stopień doktora filozofii w skutek odbytego egzaminu i napisania rozprawy filologicznej *o negacyi*, która do dziś dnia cytowaną bywa przez najpierwszych lingwistów jako jedno z najlepszych opracowań zajmującej tej kwestyi językowej. Obok pracy nad filologią klasyczną zajmowały Hipolita Cegielskiego podczas pobytu jego na uniwersytecie berlińskim przedewszystkiem kwestye filozoficzne, wywołane w skutek wykładów heglowskich, i studyum literatury polskiej, która w pracach jego zawsze pierwszorzędne zajmuje stanowisko. Objąwszy po złożeniu popisu na nauczyciela wyższego obowiązki nauczycielskie przy gimnazyum poznańskiem, z rzadką gorliwością, zamiłowaniem i sumiennością oddał się zadaniu krzewienia światła i nauki pomiędzy powierzoną sobie młodzieżą. Wszyscy uczniowie jego z czcią i uszanowaniem wspominają chwile przepędzone pod dyrekcyą młodego i uzdolnionego nauczyciela. Lecz gorliwego profesora nie zadowalniała praca obowiązkowa, po za nią rozwijał on czynność obszerną na polu naukowo-literackiem; *rozprawy o literaturze polskiej*, drukowane w ówczesnych czasopismach, *gramatyka grecka*, wydana w parę lat po objęciu stanowiska przy gimnazyum poznańskiem a dotychczas ogólnie używana i wysoko ceniona, *nauka poezyi*, dzieło we wszystkich szkołach dotąd znane i jako wzorowe wszechstronnie chwalone, świadczą, że Hipolit Cegielski nie traktował zawodu swego jako rzemiosło, dające chleb, lecz że z zamiłowaniem i z prawdziwem do nauki przywiązaniem oddawał się pracy.

Gdyby nie nadzwyczajne wypadki polityczne, które go na zupełnie inne pole przerzuciły, byłby śp. Hipolit prawdopodobnie do końca życia pozostał na stanowisku krzewiciela nauki między młodzieżą, byłby literaturę naszą wzbogacał licznemi a gruntownemi dziełami; lecz inny mu los Opatrzność przeznaczyła.

Podczas wypadków przygotowujących rok 1848, władza szkolna w Poznańskiem, uwiadomiona przez policyą o jakichś agitacyach między młodzieżą, dążących do wywołania powstania w Wielkiem Księstwie, wydała rozkaz profesorom gimnazyum poznańskiego, żeby w mieszkaniach uczniów ścisłe odbyli rewizye, szukając broni i materyałów wojennych, a o rezultacie niezwłocznie zawiadomili policyę poznańską. Hipolit Cegielski wraz z kilku innymi nauczy-

cielami oparli się rozkazowi, stawiającemu ich na równi ze zwykłemi organami policyi, w skutek tego wytoczono im proces dyscyplinarny i nietylko złożono ich z urzędu, lecz odsądzono na zawsze od prawa piastowania stanowiska urzędowego w państwie pruskiem. Hipolit Cegielski bez majątku, w kraju, w którem utrzymać się z pracy literackiej było i jest rzeczą niepodobną, wyzuty ze stanowiska, które dotąd piastował, w nader trudnem ujrzał się położeniu. Niejeden człowiek słabego charakteru byłby zwątpił o sobie i przyszłości swojej, lecz silna dusza śp. Hipolita nie tak łatwo poddawała się zwątpieniu, nie tak łatwo korzyła się przed materyalnemi trudami życia. Zawód nauczycielski zamknięty mu był przez wyrok dyscyplinarny, zawód literacki, do którego posiadał i zdolności i wiadomości, nie mógł ani jemu samemu, ani familii jego dać potrzebnych środków egzystencyi, pozostała tylko jedna droga otworem: zawód przemysłowy. W latach tych nie było w Poznaniu prawie ani jednego handlu polskiego, cały przemysł spoczywał w ręku Żydów i Niemców. Hipolit Cegielski powziął tedy myśl założenia handlu żelaza w samym Poznaniu; lecz nie obeznany dotychczas jak najzupełniej z rutyną handlową, na kilka miesięcy udać się musiał do Berlina, aby nabyć choć niezbędne przynajmniej dla zawodu nowego wiadomości. Po sześciomiesięcznej ustawicznej i sumiennej pracy w handlu Ravenego powrócił wzbogacony wiadomościami do Poznania; krótki przeciąg czasu wystarczył, aby uzdolnionego i światłego filologa zamienić w biegłego i doświadczonego kupca. Po powrocie niezwłocznie założył w bazarze poznańskim z nader szczupłemi funduszami handel żelaza; odtąd zaczyna się właściwy, pełen zasług i poświęcenia żywot Cegielskiego, odtąd imię jego łączy się nierozerwalnie z każdą ważniejszą czynnością życia publicznego w Wielkopolsce, odtąd wywierał on bezustannie wpływ pierwszorzędny na całe społeczeństwo tamtejsze.

Zasługi jego najwłaściwiej podzielić możemy na trzy kategorye, objawiały się one na polu pisarskiem, na polu przemysłowem i na polu życia społecznego.

Już wyżej wspomnieliśmy o pracach jego naukowych wydanych, gdy śp. Hipolit piastował urząd przy gimnazyum poznańskiem, przeszedłszy z życia naukowego do przemysłowego nie porzucił on bynajmniej pióra, nie przestał do końca życia brać udziału w życiu literackiem. Zaznaczamy tu tylko, że on to w r. 1848 pierwszy skorzystał z wolności prasy zakładając u nas dziennik polityczny obszernych rozmiarów pod tytułem *Gazety Polskiej*, że on przez cały nieomal przeciąg egzystencyi pisma tego jako główny redaktor jego pisywał prawie wszystkie wstępne i rozumujące artykuły; zaznaczamy, że on w r. 1859, gdy się na nowo w Wielkopolsce czuć dał brak poważnego organu politycznego, założył *Dziennik Poznański*, wychodzący do dziś dnia, i aż do końca roku 1863 był jego głównym właścicielem i kierownikiem, zaznaczamy dalej, że przy nadejściu 25letniej rocznicy założenia Towarzystwa Pomocy Naukowej, on ogłosił życiorys Karola Marcinkowskiego, pierwszego i głównego fundatora Towarzystwa, które tak błogie na rozwinięcie intelligencyi w W. Księstwie wywarło skutki, życiorys napisany z werwą i zapałem, z admiracyą prawdziwą dla człowieka, którego Hipolit Cegielski zawsze za wzór obywatela uważał. Wspomnieć tu także musimy wydawane przez niego po kilkakroć *opisy i katalogi machin rolniczych*, wspomnieć musimy dziełka treści czysto-naukowej, jako to *o słowie polskiem i o pojawiającej się nowej pisowni polskiej*. Widzimy więc, że Hipolit Cegielski obok licznych innych zajęć nie przestał na polu literackiem ważnej odgrywać roli. Tymczasem założony przez niego nasamprzód szczupły handel żelaza rósł z rokiem każdym widocznie. Obok handlu założył Cegielski warsztat, w którym wyrabiano początkowo najpotrzebniejsze narzędzia rolnicze, i ten pierwotnie mały warsztacik w kilka lat urosł do tak obszernych rozmiarów, że dzisiaj jest fabryką machin, zatrudniającą 350 robotników, fabryką



HIPOLIT CEGIELSKI. (str. 80).

dostarczającą wyrobów, które na najświetniejszych wystawach europejskich uzyskały liczne i zaszczytne medale honorowe, fabryką, która pod względem wykonania, administracyi i wewnętrznego urządzenia godnie stanąć może obok najsłynniejszych tego rodzaju zakładów zagranicznych. Cegielski tym sposobem stał się rzeczywistym fundatorem przemysłu w Poznańskiem, bo prowadzone przez niego tak genialnie przedsiębiorstwo pobudziło nietylko wielu młodych ludzi do oddania się zawodowi przemysłowemu, wykształciło znaczną ilość zdolnych i wytrawnych na niwie tej pracowników, dostarczało środków egzystencyi setkom familii, lecz wywołało zarazem w innych chęć naśladowania, wskrzesiło od razu życie przemysłowe. Mówiliśmy już, że gdy Cegielski zakładał handel żelaza, nie było w Poznaniu prawie ani jednego handlu polskiego, dzisiaj we wszystkie potrzeby zaopatrzyć się można u kupców Polaków, dzisiaj w Poznaniu więcej mamy pierwszorzędnych handlów polskich niż niemieckich.

Prócz tych zajęć literackich i przemysłowych cudowną prawdziwie czynność rozwijał Hipolit Cegielski we wszystkich ważniejszych stowarzyszeniach poznańskich. Jako długoletni wiceprezes *Towarzystwa Pomocy Naukowej* a rzeczywisty kierownik całej tej instytucyi on głównie przyczynił się do uorganizowania, rozkrzewienia i podniesienia jej, on był jej głównym i najsilniejszym filarem, on z niezrównaną gorliwością, sumiennością i poświęceniem oddał się jej duszą i ciałem, wiedząc, że głównie przez podniesienie intelligencyi i oświaty w kraju oprzeć się możemy tak niebezpiecznemu parciu germanizmu. Jako fundator przemysłu w Poznańskiem podnosił Cegielski byt materyalny współrodaków, jako wiceprezes Towarz. Pom. Naukowej przyczyniał się do rozwoju intelligencyi i oświaty. Sąd jego trzeźwy i jasny wskazywał mu te dwie drogi, na których najwłaściwiej zabezpieczyć można egzystencyę narodowości naszej wśród tylu niebezpieczeństw, jakie jej zagrażają w Poznańskiem. Lecz ileż to prócz tego sprawował urzędów publicznych śp. Hipolit, jako *Prezes Centralnego Towarzystwa Agronomicznego dla W. Ks. Poznańskiego*, złożonego prawie tylko z obywateli wiejskich, on głównie przeprowadził myśl założenia szkoły agronomicznej, on całemi siłami starał się, żeby Towarzystwo to przynosiło rzeczywiste owoce a nie kończyło czynności swej na odbywaniu publicznych sessyi lub narad bezowocnych; jako *członek rady miejskiej i curatorium szkoły realnej* stał on na straży interesów narodowych w mieście Poznaniu nieraz silnie zagrożonych; jako *Prezes Towarzystwa Przemysłowego*, on rzeczywisty fundator przemysłu, przewodniczył młodszej i mniej doświadczonej braci. Wszystkie te liczne urzęda dla Cegielskiego nie były *sinekurami*, płonnemi i próżnemi zaszczytami, zbyt wysoko pojmował on obowiązki obywatela kraju Polaka, żeby nie był w nie miał przelać całej swej nieskalanej i szlachetnej duszy. Wykazawszy pokrótce publiczne zasługi śp. Hipolita, cóż tu mówić jeszcze mamy o jego prywatnych cnotach, o jego dobroczynności, hojności dla potrzebujących, o jego uprzejmości i gościnności dla wszystkich, o tej skrzętności, z jaką każdemu, kto tego potrzebował, udzielał rady i pomocy, o tej prawdziwie podziwienia i uwielbienia godnej odwadze cywilnej, z jaką zawsze i niezachwianie występował w obronie sprawy, która na to zasługiwała. Hipolit Cegielski nigdy i nikomu nie bał się wypowiedzieć prawdy choć nieraz gorzkiej i gryzącej, dla dobra publicznego lekce on sobie ważył wszelkie prywatne oburzenia.

Przyznać musimy Wielkiemu Księstwu, że człowieka takiego godnie cenić i szanować umiało; gdy wiadomość o śmierci jego tak niespodzianie i przedwcześnie zaszłej w dniu 30. listopada rozeszła się lotem błyskawicy po mieście Poznaniu i całej Wielkopolsce, wszyscy uczuli, że kraj poniósł stratę największą, jaka go w tej chwili spotkać mogła. Gdyby ktoś w dniu śmierci Cegielskiego był szedł przez ulice Poznania a nie był wiedział o smutnej klęsce, która miasto dotknęła, byłby niezawodnie po ogólnym niepokoju, po smutku a nawet rozpaczy malującej się na twarzach poznał, że wielkie nieszczęście zwalić się na kraj musiało. Pogrzeb Hipolita Cegielskiego, który się odbył dnia 3. grudnia, nie byłto pogrzeb człowieka prywatnego, był to obchód narodowy, obchód żałobny dla tłumów kilkudziesięciotysięcznych, obchód, w którym udział brało nietylko wszystko, co żyło w Poznaniu od najniższego robotnika do najmajętniejszego obywatela, lecz na który z całego Księstwa zjechało się obywatelstwo wiejskie bez różnicy, bez względu na odcienia czyto społeczne, czy polityczne, ażeby oddać ostatnią posługę człowiekowi, którego wszyscy czcili i szanowali.

Dr. Ksawery Liske.

SŁOWO BEZ ECHA!

SZKIC POWIEŚCIOWY

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Już był dzień biały, gdy się Karol obudził. Po ciemnych i niewyraźnych marzeniach nocy przypomniała mu się głośno i dobitnie nieubłagana rzeczywistość. Codzienne życie z wszelkiemi swemi głosami zaleciało do jego uszu przez pół otwarte okno, które zamknąć zapomniał.

Najprzód jako podstawa wszystkich innych tonów dał się słyszyć głuchy turkot tysiąca dorożek, spieszących całym pędem na wszystkie cztery części świata. Do tego łączyły się różne nawoływania roznoszących przedmioty do potrzeb codziennych. Śród nich rozlegał się przerażający dźwięk bitego metalu, który jakby sopran fałszywy przygłuszał całą melodyę życia wielkomiastowego, oznajmując najbliższym i najdalszym domom obecność szlifierza.

Takim głosem pełnym nieubłaganej rzeczywistości przemówiła do zbudzonego Karola Warszawa. Przetarł oczy, ubrał się i kazał sobie podać śniadanie.

Po śniadaniu, zapaliwszy cygaro, usiadł na sofie i zaczął rozmyśliwać nad tem, co go wczoraj spotkało.

Przy jasnym dniu, przy dźwiękach życia rzeczywistego, przy błękitnym dymie cygara dziwnie mu się to wszystko wydawało. Marzenie jego przybierało słabą barwę snu, który go chwilę bawił, a potem jak mgła jesienna zaczął się rozpływać i gdzieś niknąć. Romantyczne jego pragnienia straciły wiele uroku z tej prostej przyczyny, że były tak dalekie od rzeczywistych stosunków życia.

Na cóż bowiem przyda mu się sen o pięknej, nieznajomej kobiécie, tylekroć razy w lichych powieściach sponiewierany a przez realistyczną krytykę wyśmiany? Przebiegła jak jasny meteor po nocnem niebie i zagasła. Weszła między krocie tysięcy mieszkańców stolicy i przepadła bez śladu. A może tylko przejechała przez miasto udając się za granicę?... Któżby był tak nieroztropny i w wyobrażeniach swoich romantycznych tak naiwny, aby chciał gonić za marą, która może tylko dziwnem oświetleniem zmysły jego złudziła? Gdzież jest, gdzież jej szukać, gdzie ją znaleść, gdzie obaczyć?...

A gdyby nawet ją znalazł!... Bardzo łatwo być może, żeby mocno żałował pięknych snów swoich. Możeby ujrzał twarz pospolitą otynkowaną bielidłem, oczy kunsztownie podmalowane i brwi poczernione? Może zamiast eterycznej woni polnych kwiatków poczułby zabijający zapach piżma i odurzającej paczuli? Zamiast słów słodkiej mowy ojczystej usłyszałby katarynkową melodyę wyuczonych mozolnie frazesów francuskich, które mają służyć za paszport wyższego towarzystwa, a w rzeczywistości są łachmanami bankrutów.

Może jeszcze gorsze musiałby przeboléć rozczarowanie. Może ten anioł-kobiéta ma duszę zbrudzoną i serce sprzedane na wagę złota? Może jaki starzec zgrzybiały zapłacił hojnie i kupił ten dziwny blask oczu, ten uśmiech czarujący, a może nawet i ten święty zdrój łez wziął w bezwzględne posiadanie?

Rozśmiał się Karol na ten dziwny bieg myśli swoich, wstał z sofki i przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Toby była dla mnie niespodzianka nie lada — rzekł do siebie — gdybym nagle ujrzał moją piękną bohaterkę gdzieś na koniu w sztukach łamanych, w krótkiej karmazynowej spodnicy, albo skaczącą w „Sataneli“ taniec zakochanej szatanki, jak to Korzeniowski w jednej z swoich powieści opisuje. Albo mogłoby jeszcze gorzej mi wypaść.

I zaśmiał się serdecznie i potarł ręką po czole, jak człowiek, który gwałtem chce się z czegoś ocknąć.

Jestto w naszej naturze, że chcąc się pozbyć pragnień niemożebnych, wysilamy się w rozumowaniach na niekorzyść rzeczy pożądanej, chociażby nawet nie bardzo sprawiedliwie.

Ruchliwa wyobraźnia Karola, chcąc się z odebranego wrażenia wyleczyć, byłaby w stanie iść takim torem co raz dalej i w końcu z ujrzanej nieznajomej kobiéty zrobić postać czarnego charakteru.

Wielce pomagała mu do tego — panna Michalina. Jakkolwiek z największą obojętnością, bez żadnych romantycznych uprzedzeń do niej się zbliżył, uznał jednak przy bliższem rozpatrzeniu, że to była wcale kobiéta niepospolita. Zręczną rozmową umiała odsłonić mu ze swojej strony to, czego on na pierwszy rzut oka nie widział, a co właśnie na wielką jej korzyść przemawiało. Umiała nawet całem zachowaniem się swojem postawić go do siebie w jakimś nieokreślonym, nieodgadnionym stosunku, co właśnie nie dawało mu spokoju, aby przedwcześnie usnął na laurach tak łatwo zdobytych.

Do tego jeszcze przyczyniały się wszelkie warunki stosunków rzeczywistych. Poznał ją u rejenta, mógł nawet

w koniecznym razie przyznać się do jakiegoś pokrewieństwa, miał drogę do domu legalnie otwartą, wiedziano kto on jest i jaka jest jego pozycya rzeczywista — słowem, za pomocą rejenta, gdyby serce przeciw temu nie protestowało, dałoby się z łatwością reszty dokonać, z czego byłby wielce zadowolony pan Benedykt i ksiądz proboszcz, nie pomijając nawet „Kuryera Warszawskiego,“ który w takim razie każdej młodej parze składa oficyalne swoje powinszowanie.

Taki byłby najprościejszy bieg rzeczy, a byłby tem pewniejszy, że tysiące nim idą i wszystkim jakoś nie źle się dzieje. Ale nad biednym Karolem zawisła widocznie jakaś chmura nieszczęścia, która go ustawicznie z tego bitego gościńca życia na jakieś manowce i wyboje spychała.

Właśnie około południa, kiedy brał do ręki laskę i kapelusz, aby pannie Michalinie złożyć swoje uszanowanie, zapukał ktoś śmiało do drzwi, a nim jeszcze na to odpowiedzieć zdołał, wszedł do pokoju mżęczyzna o pochyłych barkach.

— A wiesz pan, żeś utonął w Warszawie, jak ryba w maśle! — zawołał gość od progu — szukam pana od tygodnia...

— A... pan Fedor! — odparł Karol odkładając kapelusz — bardzo się cieszę... proszę siadać.

Słowa te wymówił Karol z prostej grzecznosei, którą czasem posuwał aż do słabości. Przybyły gość wziął jednak słowa za to, co one rzeczywiście w słowniku oznaczają, i rozsiadł się na kanapie jak mógł najwygodniej.

Karol podał mu cygara i zapałki.

— Wiesz pan — mówił Fedor zapalając cygaro — jak tylko dowiedziałem się, że pan jesteś w Warszawie, zaraz postanowiłem odszukać pana, chociażby na końcu świata.

Karol uścisnął rękę gościa za tak gorący afekt, i zawiązał rozmowę zwykłą, codzienną.

Fedor mówił wiele i o wszystkiem. Zacząwszy od baletu aż do ulicy Freta, przy której szary koniec baletu zwykł przemieszkiwać, mówił o wszystkiem jako wielki znawca i amator. Napomknął także o niektórych wtajemniczonym tylko znanych znakomitościach i ofiarował swoje pośrednictwo. W końcu zarwał nawet coś z polityki, a nawet wydobył z kieszeni starannie zwinięty „Kołokoł“.

Po godzinnej takiej rozrywce, zapalił świeże cygaro, wydmuchnął siwy kłąb dymu i ozwał się:

— Widzę, że pan coś osowiałeś. Rozkładam panu najsmaczniejsze bakalia, a pan patrzysz na nie bez apetytu, To coś znaczy. Jeżeli Polak jest wstrzemięźliwy na takie rzeczy i przy tem coś sobie duma, to jest tylko jedna możliwa alternatywa. Albo się kocha... albo robi spisek!

Słowo „kocha“ uderzyło Karola dziwnie, ale drugie słowo „spisek“ wymówione głośno w hotelu, za czasów rządów Mikołaja — zabiło go prawie na śmierć.

— Zlituj się pan — ozwał się przytłumionym głosem po chwili — nie wymawiaj pan tego słowa!

Fedor patrzał chwilę na Karola, jak jego twarz bladła i rumieniła się, i uśmiechał się nieznacznie.

— Nie—ozwał się po chwili, biorąc Karola za ramię — spisku żadnego nie robisz pan, o tem jestem przekonany. A gdybyś nawet i chciał próbować szczęścia w tej ulubionej zabawie narodowej, to jabym ci ani nie przeszkadzał ani tego za złe nie wziął. Wszak przysłowie polskie mówi: „Wolnoć Tomku w twoim domku“... i my w Charkowie, gdym był na uniwersytecie, układali różne plany zbawienia ludzkości...

Karol przyszedł trochę do siebie. Otarł pot z czoła, zapalił zgasłe cygaro i rzekł:

— Niechże pana nie znam, coś mi strachu napędził! Jeszcze biegną mi ciarki po krzyżach. Żeby tylko kto nie słyszał. Mam aż dwoje drzwi w pokoju, a każde słowo do trzeciego numeru słychać.

— A nie wiesz pan, kto koło pana mieszka? To bardzo źle niedowiedzieć się, z kim sąsiadujemy.

— Nie mam tego zwyczaju... choć przyznaję, że na tem czasem źle wyjść można.

— O tak jest. Nauczyło to mię. Za to teraz pokutuję. Niech ich milion tysięcy sto kroć...

— Dlatego zaklinam pana, nie żartuj pan z podobnem słowem, bo diabeł nie spi.

— Więc dobrze. Połowa alternatywy nie sprawdziła się, pozostaje więc druga. Pan się kochasz.

Fedor tym samym badawczym wzrokiem patrzał na niego, co i pierwszym razem. Karol nie zważał na to. Spuścił oczy na ziemię i uśmiechał się do swoich myśli. Zdawało się, że się namyśla.

— Gdybym się pana o jaki spisek pytał — ozwał się po chwili Fedor — nie dziwiłbym się wcale, gdybyś się pan namyślał. Pytając jednak o amory, jestem pewny, że pytam o rzeczy najpożądańsze nawet przez policmajstra. Więc nie widzę potrzeby wahania się ze strony pana. Wyjąwszy jeźli niezasługuję na tyle zaufania...

Karolowi brzmiało jeszcze to fatalne słowo „spisek“ w uszach, jeszcze czuł ostatki dreszczu, który wstrząsł nim gdzieś aż do szpiku. Chciał wszelkiemi środkami odeprzeć od siebie to niebezpieczne podejrzenie chociażby tylko żartem wymówione, a niepotrzebując wcale nic zmyślać, postanowił na prędce podzielić się z niektóremi swemi marzeniami, o ile to tylko zrobić się dało.

— Aby panu dowieść — ozwał się po chwili — jak wielkie mam do pana zaufanie, mogę się nawet z najskrytszych moich tajemnic nieco wygadać. Przynajmniej nie będziesz mnie pan podejrzywał...

Tu urwał, bo następujące słowo w żaden sposób przez gardło przesunąć się nie chciało. Lękliwe jednak obejrzenie się po za siebie okazywało jasno, jakie miało być to słowo.

Fedor uśmiechnął się, posunął ręką po gładko ogolonej twarzy swojej i odparł:

— Bardzo rozsądnie pan mówisz. Niema nic nieznośniejszego dla samotnego człowieka, jak nosić się z swoją tajemnicą i nie mieć nikogo, przed kim mógłby przynajmniej należycie się wygadać. Ja z mojej strony przyrzekam panu wszelką dyskrecję, bo może niezadługo podobnej dyskrecji i od pana zażądam.

— Mam pańskie słowo — odparł ośmielony tem przyrzeczeniem Karol, i w danym razie upomnę się o nie.

— Więc do rzeczy... Czy blondynka, czy brunetka? Zapewnie brunetka... Ale gdzieś to pan ją upolował?

— Niestety, polowanie odbyło się prozaicznie, bez przeszkód. Nie było nic do łamania karku, ani płotów, ani fosy, żadnego muru, nawet żadnej baryery. Nie rozpoczynałem romansu ani przez okno ani w Saskim ogrodzie, gdzie są zielone drzewa a nawet w potrzebie i księżyc zamówić sobie można — słowem wszedłem legalnie przez drzwi do salonu, przedstawiłem się pannie, jadłem z nią razem kolacyę, a przytem mówiliśmy nieco między sobą. Westchnień nie było żadnych a jak tam serce biło, to już chyba wie tylko sam pan Bóg.

Rzekłszy to Karol, wziął do ust cygaro i okrył się gęstą chmurą siwego dymu.

Fedor podumał chwilę, pokręcił głową a uśmiechnąwszy się ironicznie odparł:

— Na plewę nie złapiesz pan starego wróbla. Znam ja ludzi i wiem do jakiego gatunku pan należysz. Już to pewnie nie zakochałeś się pan siedząc przy kolacyi.

— Ale mówię panu szczerą prawdę. Wczoraj wieczór byłem u krewnego rejenta. Tam obaczyłem pannę ładną, rozumną i ładnie wykształconą, której posagiem jest posesya o dwóch numerach przy jednej z pryncypalnych ulic. Czyż to nie dosyć, aby się zająć i całą rzecz wziąć pod ściślejszą rozwagę?

— Aha! To pan medytujesz dopiero co zrobić. Ważysz pan interes, i obliczasz jego korzyści i ryzyko.

Karol pomyślał chwilę nad temi słowami. Spostrzegł że ton, jakiego użył do sprawozdania, chybił celu. Mimo to słowa Fedora jakoś dziwnie były prawdziwe... Ozwał się po chwili:

— A gdyby i tak było jak pan mówisz? Proszę pana, cóż jest lepiej, czy zrobić prosty interes, ale zrobić go dobrze, czy uganiać za ideałami jak za wiatrem po polu? Powiedz mi pan, gdzież są te ideały? Czyż te piękności Saskiego ogrodu z bielidłem na twarzy i oczami zręcznie podmalowanemi? Zbliż się pan do tych ideałów, i cóż tam znajdziesz? Oto znajdziesz pan napis elegancki: Kto da więcej!...

Fedor uśmiechnął się z niejakiem zadowoleniem. Zdawało się, że kontent był z tej dziwnej skargi Karola.

— Wierzaj mi panie Fedorze — ciągnął dalej Karol — lepiej jest za pośrednictwem rejenta dobić targu o rękę z przynależytościami dwóch numerów, niżeli uganiać po świecie za marą, której nigdy nie uchwycimy.

Fedor wstał, zaśpiewał półgłosem jakąś aryjkę, a kładąc rękę na ramieniu Karola rzekł do niego:

— Teraz wiem już z pewnością, że się pan kochasz, ale kochasz się trochę nieszczęśliwie.

Zdziwiony spojrzał na niego Karol. Nastąpiła chwila milczenia, w której obaj zapaśnicy wzajem siebie badali.

— Zkądże to znowu pan wnosisz? — zapytał Karol, kładąc zagasłe cygaro na stole.

— Poprostu z tego, co pan mówisz — odparł Fedor kołysząc się z jednej nogi na drugą.

— Przecież panu nic tak szczególnego nie powiedziałem. A to co mówiłem jest szczerą prawdą.

— Nie panie, kto z taką goryczą o kobiétach mówi, kto tak solennie wyrzeka się wszelkich ideałów, a nawet je przedrwiwa, ten niezawodnie nosi pod kamizelką serce, strzałą amorka zranione.

Karol pomyślał chwilę nad tem, co Fedor powiedział, i przyznał w duchu, że w tem coś prawdy było. Sposób bowiem, w jaki o pannie Michalinie mówił, był jasnym dowodem rozżalonego serca. Przypomniał sobie, że pewien wielki poeta wyrzekł, że nikt bardziej kobiéty nie kocha jak ten, który najmocniej przeciw niej powstaje i bez żadnej apelacyi ją na wieki kondemnuje.

Nie chcąc jednak wyjawić się z tem, co w głębi jego serca było, przed gościem, postanowil Karol dalej trwać przy tem co powiedział. Wypogodziwszy więc twarz wziął cygaro, potarł zapałkę i odparł:

— Możesz pan mieć o mnie zdanie, jakię się panu podoba. Ja zaś obstaję przy tem, com powiedział, i jeszcze dzisiaj wybieram się z wizytą do rejenta, by polecić mu dalsze prowadzenie tego, jak pan nazywasz, interesu.

Podczas tego przeglądał Fedor leżące na stole nowe ubiory. Uśmiechnął się i rzekł po chwili:

— Ludzie do zwykłego interesu przystępują w surducie podszarganym lub we fraku zeszłorocznym. Kto zaś przyjechawszy do Warszawy każe w kilku dniach robić Francuzowi dwa nowe garnitury, ten przygotowuje się do większej kampanii, niżeli transakcya u rejenta... A że każda większa kampania potrzebuje przymierzy, a w kampanii serdecznej przymierza są koniecznie potrzebne, to chętnie ofiaruję panu moją pomoc z całem wojskiem i memi finansami. A co?

Rzekłszy to wyciągnął rękę do Karola. Karol roześmiał się, wziął rękę i rzekł:

— Dobrze, żadnej pomocy nie odrzuca się. Nie wiem tylko czy wzajem będę mógł...

Fedor zdawał się nie słuchać tych słów. Chodził po pokoju i patrzał w ziemię. Po chwili zatrzymał się i rzekł:

— Wierzaj mi pan, tyle dla nas przyjemności, jeżeli

należycie spożytkujemy ten dar boży, który się wyobraźnią nazywa. Życie bez tego czynnika jest prawie karą, którą Bóg wie za co, na ziemi odbywamy. Spać, pić, jeść — cóż to za życie?... A czemże innem jest ta spółka małżeńska, praktycznie wzięta? Pan naprzykład pójdziesz do rejenta, rejent pójdzie do panny — potem rozpocznie się wyprawa i obowiązkowe nader nudne znoszenie bukietów przez narzeczonego, a po tym krótkim, niezawsze dobrze odegranym melodramacie, przyklękniesz pan na stopniach ołtarza i wrócisz do swego domu z kobiétą, która zaraz weźmie pod swój zarząd spiżarnię, drób i cerowanie bielizny.

— Nigdy pan w ten sposób do mnie nie mówiłeś. Na mnie teraz kolej posądzić pana, żeś dostał — od kosza.

Fedor uśmiechnął się, jakby to nigdy nastąpić nie mogło, poprawił kołnierzyka i mówil dalej:

— Idealniejszych sfer potrzeba nam koniecznie. Potrzeba nam najprzód roić sobie przeróżne rzeczy, budować jak to mowią, zamki na lodzie, szukać potem eterycznych mieszkańców dla tych zamków, tropić ich po kniei za śladem, za wyciśnioną jedną drobną nóżką, przebywać najrozmaitsze zawody i znowu z odwagą i pragnieniem nienasyconem iść dalej, dalej naprzód... chociażby za jakim majakiem, za błędnem światełkiem, które po nad moczarami się unosi... Wprawdzie rezultat takiej gonitwy nie zawsze kładnie nam laury na głowę, ale przynajmniej czuliśmy przez ten czas że żyjemy, słyszeliśmy jak nam serce w piersiach biło, bośmy się spodziewali i obawiali.

Karol chodził po pokoju. Słowa Fedora, dzisiaj jakoś tak niezwykłe, obudziły w nim dziwną strunę. Nie mógł on tego, co Fedor mówił, wziąć w tej chwili na seryo, ale mimowoli brzęczała w jego duszy jakaś melodya, którą znał doskonale, bo nieraz się jej przysłuchiwał.

Po chwili potarł ręką po czole i rzekł:

— W tonie, jak mi się zdaje, żartobliwem, powiedziałeś pan rzeczy, które mimowolnie nastrajają człowieka na seryo. Słusznie pan twierdzisz, że wyobraźnia w naszem życiu znaczną gra rolę. I nie rozumiem tych, którzy tej wyobraźni się wyrzekają, chroniąc się od każdego wyższego, choćby nawet fałszywego polotu. Smutneż to jest życie, jeźli człowiek nie wie, że ma serce w piersiach, i wtedy tylko słyszy jego bicie, gdy się na sługi gniewa.

— Teraz pana znowu poznaję. Widzisz pan, maskowałeś się przedemną. Jestem pewny, że za kilka dni, za tydzień, będziesz mnie pan sam szukał, aby się z czegoś zwierzyć... a może przyjacielskiej rady zasięgnąć. Wierzaj mi pan, życie egoistyczne, zamknięte w sobie nic nie warte. Dusza w człowieku gnije jak woda w stawie.

Zdawało się Karolowi, że jakiś gorętszy koloryt wybił na twarz Fedora. Proste, niepodejrzliwe jego serce uderzyło także raźniej w tej chwili. Wyciągnął rękę i serdecznie uścisnął gościa, który mu swój afekt z taką ostentacyą niósł w ofierze.

— Może być, że wkrótce uczynię użytek z pańskiej ofiary — rzekł Karol z uśmiechem na pół żartobliwym.

— Oczekuję tego na seryo — odparł Fedor — bo jestem Słowianin, a Słowianie przecież bez serdecznych stozunków żyć nie mogą, jak nas tego uczy cała nasza historya. Zostawmy Niemcom to życie podzielone na osobniki, my żyjmy gromadnie, serce przy sercu.

Po tych słowach uściskał serdecznie Karola i wyszedł.

XIII.

Gdy Karol sam został, myślał jeszcze czas niejaki nad tem, co mu Fedor powiedział. Dziwiło go bystre jego oko, którem od razu odgadł, co się w jego sercu działo. Ale gdy po chwili cały bieg rozmowy żywo sobie przypomniał, uznał, że on sam, dziwnem nastrojeniem swojem dał powód do sprawiedliwych wniosków Fedora.

Mimo to zdawało mu się, że Fedor nie jest dla niego zwykłym, obojętnym znajomym. Trafił on bardzo zręcznie na coś, co w głębi jego duszy leżało, a dla takich ludzi ma się już zawsze mimowoli jakiś żywszy sentyment.

— Fedor ma słuszność — pomyślał sobie — człowiek ten zna świat i ludzi. Mówił bardzo trafnie... i nawet nie zły człowiek, kiedy tak mówił. Ojciec i ks. proboszcz Ksawery mają uprzedzenia swoje, ale pytam się ich, kto do mnie w Warszawie serdeczniej mówił? Rejent bardzo zacny człowiek, ale rejent to istny zasuszony, zimny paragraf.

Myśląc tak i tem podobnie przypomniał sobie w końcu, że miał zamiar pójść do matki Michaliny, co pod każdym względem było jego obowiązkiem. Wprawdzie wizyta taka nieobowiązywała go do niczego, była zwykłym aktem grzeczności i obowiązku towarzyskiego. Mimo to nie udał się natychmiast na Nowyświat, gdzie była owa posesya o dwóch numerach, ale przeszedł się jeszcze kilkanaście razy w pokoju tam i nazad, myśląc o tem, co przed chwilą tak trafnie wypowiedział Fedor. Wreszcie spojrzał na zegarek, wziął kapelusz i wyszedł.

Szedł wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Krakowskie Przedmieście to *corso* Warszawy. Osobliwie o godzinach przed- i poobiednich widać tam tłumy, jakby miasto liczyło parę milionów mieszkańców.

Karol prawie co krok spotykał piękne, zgrabnie ubrane kobiéty. Każda z nich, gdy była w oddaleniu, nasuwała mu myśl: czy to nie będzie piękna nieznajoma? A choć sto razy się złudził, to jeszcze pytał: czy nie ona?

Tym sposobem fatalne to Krakowskie Przedmieście zbudzilo znowu w jego duszy ów sen przelotny nad brzegiem Bugu, a właściwy cel dzisiejszej jego przechadzki, odwidzenie panny Michaliny, tracił znowu coraz więcej nawet ze zwykłej w takim razie przyjemności. I kto wie, czyby się od „Kopernika“ nie był wrócił, gdyby właśnie ztamtąd w zakurzonej perspektywie Nowego Świata nie był

ujrzał na zagięciu ulicy nadzwyczaj korzystnie prezentującą się posesyę o dwóch numerach.

Widok tej zgrabnej muszelki, w której wraz z perłą drogocenną na falach marzeń płynęła ponętna istotka, sprawił na nim wrażenie zacierające nieco błędne majaki wyobraźni. I w samej rzeczy posesya o dwóch numerach mogła zatrzeć niejeden złoty sen, wybudowany na kruchym lodzie. Były to widocznie dwie kamienice, a nawet w archiwach ratusza możnaby odszukać, że niegdyś miały dwóch właścicieli. Dzisiaj połączone w jednem ręku wydają się wprawdzie jak jedna duża kamienica, chociaż matka panny Michaliny wyraźnym na to rozkazem na dwa odmienne kolory pomalować je kazała, aby świat złośliwy nie myślał, że Michalina ma posagu tylko jedną kamienicę.

Nietylko jednak podwójnym kolorem imponowała ta posesya. Nie chcąc wraz z innemi stać w jednej linii wysunęła się nieco naprzód, aby tym sposobem być więcej widzianą od innych.

To też i Karol ujrzał ją z daleka, a wraz z nią stanął mu zaraz przed oczy poczciwy stary rejent, któryby całą tę matrymonialną sprawę odrazu załatwił bez żadnych innych, mniej pewnych przygód romantycznych.

Wszedłszy w „Nowy Świat“ szedł Karol krokiem coraz pewniejszym, coraz mniej patrzał na piękne, przesuwające się koło niego Sylfidy, przestał nawet pytać w duchu: czy to nie ona? Za to nie spuścił oka z tej pomalowanej na dwa kolory, od innych naprzód wystającej posesyi, i jak się zdawało, zdążał już wprost do niej.

W tej chwili właśnie chwycił go ktoś za rękę. Karol ocknął się jakby ze snu i spojrzał przed siebie.

Był to patron. Miał na sobie ubior bardzo staranny. Uśmiechnął się do Karola i rzekł:

— Pan zapewnie chciał pannie Michalinie złożyć uszanowanie. Uprzedzam pana, że ani jej ani matki nie ma w domu. Idę właśnie ztamtąd. Żałuję bardzo, żem ich nie zastał, ale za to cieszę się, że pana spotykam, bo mam do pomówienia o bardzo ważnej rzeczy.

— Słucham pana — odparł Karol podając rękę patronowi.

— Tu jest gwar i turkot, że słowa zrozumieć trudno— rzekł patron — ale chodźmy do Saskiego ogrodu. Dzień jest dosyć ciepły, o tej porze zwyczajni mieszkańcy ogrodu obiadują, a w bocznej alei znajdziemy jakie ustronie.

Karol przystał na propozycyę patrona i obaj zwrócili zaraz na Świętokrzyską.

Niejakiś czas szli w milczeniu obok siebie. Patron układał sobie prawdopodobnie w głowie cały „ważny interes“, o jakim z Karolem miał mówić, a Karol usiłował domyśleć się tego, czego od niego patron żądać może. W każdym jednak razie zgadzał się na to, że głównym przedmiotem tej rozmowy może być tylko — panna Michalina.

Jakoż i ugadł. Zaledwie bowiem w boczną aleę byli weszli, zatrzymał go patron za rękę i rzekł:

— Nie weźmiesz mi pan za złe, że tak obcesowo do interesu przystępuję. Jestto moim zwyczajem, i znają mnie pod tym względem we wszystkich instancyach. Do czego inni patronowie libry papieru potrzebują, ja załatwię tę rzecz na jednym arkuszu. W jednej tylko sprawie uczyniłem wyjątek i widzę, że proces przegrać mogę.

— I prawdopodobnie o tej sprawie chcesz mi pan mówić — zauważał Karol siadając na ławce.

— Tak jest, o tej sprawie chcę mówić z panem, a tą sprawą, jak się zapewnie domyślasz, jest — panna Michalina.

— Tego się wcale niedomyślałem — odparł dyplomatycznie Karol, bawiąc się laseczką.

— Jak to? Niedomyślałeś się pan? — zapytał patron i spojrzał badawczym wzrokiem na Karola.

Po krótkiej pauzie, śród której obaj adwersarze siły do następującej kampanii zbierali, ozwał się patron:

— Chwaliłem się przed panem, że w zawodzie moim jestem stanowczym. Powiedziałem także, że tylko w jednej sprawie uczyniłem wyjątek i że tym wyjątkiem jest panna Michalina. Otóż rzecz tę wyjaśniam w ten sposób, że za wielki błąd poczytuję sobie, żem się pannie Michalinie przed przyjazdem pana nie oświadczył.

Wypowiedziawszy to patron zerwał się z ławki i równemi nogami stanął przed Karolem. Karol uśmiechnął się i zamyślił na chwilę. Sytuacya jego zaczęła się przed nim wyjaśniać. Wiedział, że ma rywala.

— Dla czegożeś pan tego nie uczynił?—zapytał wreszcie Karol.

— Z tej prostej przyczyny, że nie wiedziałem o istnieniu pana i pokrewieństwie z rejentem.

— Cóż to panu przeszkadza w tej mierze? Wszak ani rejent, ani ja —

— Za pozwoleniem — przerwał patron — jak widzę, pan rzecz chcesz rozciągnąć na długi proces. Ja ją zaraz skrócę na sposób kodeksu napoleońskiego. Tylko proszę o cierpliwość i uwagę.

Rzekłszy to usiadł patron na ławce i spokojnie mówił dalej:

— Wierzaj mi pan, o sto procent byłoby mniej procesów, gdyby ludzie czy raczej adwersarze szczerze i otwarcie się porozumieli. Jest to święta dewiza: *Clara pacta claros faciunt amicos.* Dla tego przystępuję do pana z całą szczerością i otwartością. Nie pragnę od pana łaski, ale chcę panu wydemonstrować, że nie wchodząc sobie wzajemnie w drogę, możemy obaj zrobić bardzo korzystny interes.

— Ach! To pan dla spraw spornych jesteś nieoceniony! — zauważał śmiejąc się Karol.

— Zaczynam: Od lat prawie szcściu, gdym był jeszcze

studentem, znam pannę Michalinę. Niepowiem tego, żeby mi się odrazu podobała. Widywałem ją często na wieczorach u mecenasa pana Jędrzeja i naczelnika biurowego izby obrachunkowej. Tańczyłem z nią wiele kontradansów, polek i mazurów, a dwa czy trzy razy bawiłem się nawet w mruczka i w talarka. Potem z powodu studyów przerwały się nasze zabawy, a gdym znowu ją w towarzystwie ujrzał, powiedziałem sobie: ta musi być moją żoną.

— I cóż panu dotąd na przeszkodzie stało? — zapytał Karol pisząc laską po piasku.

— Na przeszkodzie stanął mi ten, o którym jakiś angielski pisarz powiada, że jest największym naszym nieprzyjacielem, to jest — ja sam... Tak jest, ten sam patron, którego pan przed sobą widzisz.

Karol uśmiechnął się i ciekawie spojrzał na patrona. Patron mówił dalej:

— Znana we wszystkich instancyach moja stanowczość opuściła mnie tutaj i to nie wiem z jakiego powodu. Czy obecność panny Michaliny nabawiła mnie tej trwogi i bojaźni, z jaką w oblicze bóstwa mają się w niebie wpatrywać święci i wybrani, czy dyplomatyczne słówka mamy dobrodziejki, z których możnaby było na upartego wnosić rekuzę — słowem cokolwiekbądź było tego powodem, ale fakt został faktem, że dotąd, to jest do dnia dwudziestego piątego kwietnia nie oświadczyłem się pannie Michalinie.

— Jakąż rolę w tym wypadku miała panna Michalina? — zapytał Karol.

— O pannę Michalinę nigdy się nie turbowałem. Miałem dowody jej sentymentu dla mnie jeszcze przy grze w talarka. Siedzieliśmy obok siebie. Pan znasz grę w talarka? Wszyscy trzymają się wtedy za ręce... Pan już mnie rozumiesz. Dosyć, jeźli panu powiem, że panny Michaliny byłem pewny aż... do tego fatalnego wieczora u rejenta. Przeczuwałam, że w tym dniu coś mnie spotka.

— Dla czegoż pan przed tym fatalnym wieczorem nie oświadczyłeś się pannie Michalinie?

— Głupota panie i nierozum. Jeśli kto jakie głupstwo ma zrobić, to go rozum wtedy odejdzie... Panna Michalina czekała od dawna skrajnego słowa odemnie, dała mi tysiąc razy do poznania, żebym raz się odważył tylko, usuwała sama różne przeszkody, jakie mogły zajść między nami. Słowem była na wszystko przygotowaną. Ale ze mnie... niech Boga nieobrażam, głupi kunktator. Bawiło mnie to, że się panna niecierpliwi, czekałem jak jej niecierpliwość daleko zajdzie, bawiłem się z nią jak kotek z myszką — aż tu przybył mocniejszy kot...

— Czy pan masz jakie pewne dowody do tego mniemania? Na czem pan to opierasz?

— A przecież ów wieczor u rejenta był dla mojej sprawy tem, czem w dziejach starożytnych przejście Cezara przez Rubikon. Już na tym wieczorze miała panna Michalina dla mnie inny uśmiech, inne spojrzenie, inne słowa, zgoła nie była już tą samą Michalinką, jaką ją znałem od lat sześciu. Dziwię się, pytam jednego sąsiada i drugiego, cóż to się znaczy? Aż tu turknął mi jeden emeryt do ucha, że rejent chce was oboje skopulować, i w tym celu ów wieczorek wyprawił.

— Co pan mówisz? Pierwszy raz od pana to słyszę. Ani rejent, ani nikt inny nic mi o tem nie mówił.

— Mniejsza o to, czy panu kto mówił czy nie, ale plan jest taki i kwita. Michalina wie o tym planie, a zachowanie się jej wczorajsze dowodzi, że się z tym planem zgadza. Nawet nim pan przyszedłeś, dała mi do poznania, kogo dziś oczekuje. Powiedziała mi wyraźnie, że za nic w świecie nie mieszkałaby w Warszawie i że pragnie przenieść się na wieś... Innemi słowy znaczy to: Mam innego konkurenta, który ma wieś, a ty patronie idź sobie precz.

Karol rozśmiał się na całe gardło. W słowach patrona zaczął już przebijać ton tragiczny.

— Ależ panie — podjął po chwili Karol — panna Michalina wcale co innego przedemną mówiła.

— Nie wierz pan jej, bo to panna sprytna i obrotna, jak rzadko. Ręczę panu, z nią niktby nie mógł dojść do ładu tylko ja jeden. Każdy inny byłby w małżeńskiem pożyciu z nią bardzo nieszczęśliwym.

— Ba, ale jakże ja mam dopomódz do tego wzajemnego waszego szczęścia? — zapytał Karol.

— Przez proste zrzeczenie się wszelkiej do panny Michaliny pretensyi! — odparł krótko prawnik.

Karol spojrzał zdziwiony na patrona. Patron wyczekiwał spokojnie odpowiedzi.

— Przyznam się — rzekł po chwili Karol — że żądania pana dziwnemi mi się wydają. Jak można zrzekać się czegoś, czego się nie posiada? Nie wiem nawet, jak jestem zapisany u panny Michaliny.

— Ale ja wiem, mój panie, bo znam pannę Michalinę. Ja rozumiem każdy akcent jej słowa, wiem, że wtedy wcale nic nie myśli, kiedy udaje zamyślenie, wiem, że wtedy najwięcej myślą pracuje, gdy jest niby roztargnioną i naiwną.

— Ależ mój panie w takim razie —

— Wiem co pan chcesz powiedzieć... ale ja ją kocham

— Pan ją kochasz? — powtórzył Karol zdziwiony... A cóż pan w niej kochasz, jeźli tak o niej mowisz?

— Niewiem co, ale mówię panu, że dzisiaj przez całą noc mało nie oszalałem.

Karol zamyślił się nad tem, co w tej chwili patron powiedział. Przypomniał sobie swój sen złoty, który odbiegając od niego, coraz więcej blednie i rozwiewa się, a on przecież goni za nim marzeniem ukrytem.

— Ale nie myśl pan — ciągnął dalej patron — abym tę sprawę na tem zakończył. Mówiłem panu z góry, że każdą sprawę lubię załatwiać z korzyścią stron obu. Jeżeli cessya wydana ze strony pana przynosi mi oczywistą ko-

rzyść, to musi za tę cessyę być jakaś dla pana indemnizacya. Otóż mam taką indemnizacyę.

Karol z ciekawością podniósł oczy na patrona. Patron spokojnie mówił dalej:

— Byłem temi dniami zawezwany w pewnym prawniczym interesie do pewnej damy ze wsi. Tam obaczyłem jej córkę... ale mówię panu ósmy cud świata. I ładna i mądra i wszystko!...

Karol zaśmiał się głośno na tę szczególną propozycyę. Patron ciągnął dalej z tym samym spokojem:

— Panu wydaje się to śmiesznem, a to rzecz prosta. Wdowa przyjechała ze wsi z córką. Jest chorą i nigdzie nie bywa. Zdaje się, że majątek musi być znaczny. Nie znają nikogo w mieście. Nudzą się same...

— Bardzo dobrze mój panie, ale dla czegoż naprzykład pan nie korzystasz z podobnej sytuacyi?

— Byłbym to niezawodnie uczynił, gdybym miał jaką szansę. Jestem patronem i nic więcej. Pan jako właściciel dóbr ziemskich masz zupełnie inną rekomendacyę. Mimo wszelkich przechwałek z oświaty dziewietnastego wieku panuje po naszych dworach szlacheckich ta święta pomroka umysłów, że kto tylko coś robi na świecie, jest wyrobnikiem, a przyzwoity człowiek powinien mieć wieś i ekwipaż. Otóż my wyrobnicy możemy tylko łowić pannę z miejskiemi hipotekami, a wam zostawiamy wiejskie... Ręczę panu, gdybyś się pan dobrze zawinął, to jeszcze przed św. Janem zrobiłby rejent należyty opis.

— Czy to pan na seryo mówisz? — zapytał po chwili Karol patrząc w oczy patrona.

— Czy to wydaje się panu dziwnem? Czyż to co innego było, jeśli panu rejent powiedział: Mam kuzynkę z posesyą dwóch numerów, przyjdź, zobacz, może się co zrobi... A ja panu mówię: Jest wdowa z córką jak się zdaje znacznie bogata. Córka jest takiej nadzwyczajnej piękności, że każdego oczarować może. Pójdź pan, zaprowadzę tam pana. Jeśli się panu podoba, to może co z tego być. I tak każdy zostałby przy swojem, ja przy hipotece miejskiej a pan przy wiejskiej.

— Ależ to panie jest rzecz tak dziwna!

— Nic panie nie ma w tem dziwnego, może sformułowanie tylko. Są rzeczy daleko gorsze, a gdy je ładnie i powabnie sformułować, to wyglądają lepiej od najlepszych. Ja bez upiększających form przedkładam panu rzecz dobrą i poczciwą. Wierzę że w romansach inaczej piszą, ale ręczę panu, że w życiu inaczej się dzieje.

— Przyznam się panu, że rzecz jest nietylko dziwną ale oraz ciekawą.

— Kto wie, czy tej ciekawości zaraz zadość uczynić nie będzie można... One zazwyczaj o tej godzinie wychodzą do ogrodu i tam na ustronnej ławce siadają... Pójdźmy kilka kroków.

Karol mimowoli wstał i złączył się z towarzyszem. Nie miał w tej chwili żadnej myśli, żadnego marzenia. Długa rozmowa patrona zmęczyła go. Kontent był, że choć trochę ruchu użyje.

Zaledwie kilkanaście kroków uszli, spotkali dwie czarno ubrane kobiéty z grubemi zasłonami na twarzy.

— Otóż i ona! — zawołał patron i opuścił na chwilę Karola spiesząc ku kobiétom.

Kobiéty zatrzymały się, a młodsza z nich zwrócona do Karola odsłoniła nagle twarz swoją...

Była to owa, upragniona nieznajoma.

. . . .

XIV.

— A co? — zapytał patron Karola, gdy kobiéty się oddaliły — czy nie ładna?

Karol stał jak odurzony. Nie wiedział czy to się na jawie dzieje, czy we śnie. Drzewa Saskiego ogrodu biegały w koło niego, jakby go owinąć, ścisnąć i udusić chciały. Odetchnął pełną piersią raz, drugi i trzeci, i zawsze była ta pierś przepełniona.

— A panna Jadwiga mówiła, że pana zna, że gdzieś pana widziała! — mówił dalej patron korzystając z wrażenia.

— A tak... — jąkał Karol — widziałem ją... o nie raz widziałem ją... tak... to ta sama...

— Ale przyznasz pan, że jest na co się popatrzeć. Mówię panu co za oko!

— Możebyś pan mnie tam zaraz wprowadził... chociaż to trochę dziwno wygląda.

— Będą z tego bardzo kontente. Mówiły mi, że się nudzą strasznie, że dla słabości nie mogą bywać wieczorami...

— Więc dobrze... możebyśmy poszli, jeżeli pan uważasz, że to ich nie zadziwi mocno.

— A cessja na pannę Michalinę? — zapytał z figlarnem wejrzeniem patron.

— Ręczę panu, że... w tej chwili o niej nie myślałem— odpowiedział jąkając się Karol.

— Dobrze, na razie niczego od pana nie żądam. Liczę na wdzięki panny Jadwigi. Chodźmy.

I wrócili się obaj i szli wolnym krokiem, aby czarnym damom dać czasu wejść do swego pomieszkania.

Karol szedł w milczeniu przy swym towarzyszu. Tysiące różnych rojeń przebiegało przez jego serce. Nic nie widział przed sobą, nie widział nawet drogi, którą szedł. Machinalnie kierował nim patron.

Wreszcie stanęli u celu. Karol zdziwił się. Był to hotel, w którym mieszkał.

— Gdzież tu jesteśmy? — zapytał towarzysza.

— Przed mieszkaniem naszych pań, do których idziemy — odparł patron i wszedł na wschody.

Karol wszedł także za nim, ale wszedł bezmyślnie, bo w jego głowie wszystko to jeszcze nie mogło się pomieścić. Szedł więc machinalnie popychany przez patrona, minął swój numer, szedł dalej, po za róg zaginającego się kurytarza i wreszcie stanął przed drzwiami, przed któremi właśnie patron zadzwonił.

Wyszedł stary służący. Patron wymówił swoje nazwisko i nazwisko Karola. Służący wrócił i otworzył drzwi do saloniku.

Obaj weszli.

Na czerwonej aksamitnej sofce siedziała matka Jadwigi. Była to sędziwa matrona z obliczem pooranem troskami i cierpieniem.

Przy niej oparta o stół stała Jadwiga. Mogła mieć około lat dwudziestu. Nie byłto ów ponętny, aniołkowaty pączek rozwijającego się kwiatka, ale była to kobiéta, w pełni uroku, z tym niewidomym wieńcem cierniowym na czole, który świetniej od najdroższej korony przystraja każdą wyższą kobiétę.

— Moja córka utrzymuje — ozwała się matka Jadwigi po zwykłych przywitaniach — że pana widziała przy przewozie przez Bug.

— Tak jest — wyjąkał Karol — to ja byłem, opisywałem furmanowi drogę...

— Widzi mama, że mnie pamięć niezawiodła — odparła Jadwiga lekko zarumieniona.

Karol sądził w tej chwili, ze zmysły postrada. Ile myśli i uczuć przebiegło mu przez głowę, tegoby i przez tydzień nie zliczył.

Ale wnet ukłuła go w serce myśl gorzka... Przypomniał sobie, że okna tego salonika to te same okna, zkąd wychodził ten dźwięk fortepianu... i na których widział dwie sylwetki... kobiéty i mężczyzny...

Serce w nim czegoś zadrzało z bojaźni.

— Czy mają państwo znajomych? — zapytał po chwili drżącym głosem.

— Nie mamy tutaj nikogo — odpowiedziała Jadwiga — po raz pierwszy z borów litewskich przybyłyśmy do Warszawy.

— Oprócz pana adwokata — dodała matka dziwnie akcentowanym głosem — i oprócz służby miejscowej, nie było tu u nas jeszcze żadnej żywej duszy.

Jadwiga spuściła oczy smutno na stół i zaczęła coś kreślić na nim.

Karol zamyślił się, a przed jego oczami przesuwały się właśnie te dwie sylwetki, które był wczoraj późną godziną widział na firankach tych okien...

I zrobiło mu się jakoś smutno, bardzo smutno.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA.

Z kraju.

Obyczaj i moda. — Karnawał. — Towarzystwo sztuk pięknych, premia i wystawa obrazów. — Rejtan, tragedya w 5 aktach p. B. Komorowskiego. – Niby-prawdy, niby-żarty p. AJO. — Pochód z pochodniami i Złoty Chrząszczyk p. Urbańskiego.

Wilja Bożego Narodzenia, Nowy rok, zapusty — święta dla małych i dla wielkich dzieci, wszystko to nastąpiło po sobie ściśle według przepisów, zawartych w każdym kalendarzu. Czytelnicy nasi na prowincyi dowiedzą się z przyjemnością, że obchodzimy rozmaite te uroczyste okazye zupełnie tak jak oni, według dawnego obyczaju ojców, choć Lwów coraz bardziej staje się wielkiem miastem, na wskróś kosmopolitycznem, europejskiem, i choć wolno nam dawać bale w adwencie i w wielkim poście, i przedstawienia teatralne w pierwszy dzień świątek Zmartwychwstania Pańskiego. Obyczaj więcej ma w tej mierze znaczenia od ustaw — wolno np. otwierać sklepy w niedziele i święta uroczyste, ale nikt ich nie otwiera; najgorętsza żądza zysku czuje potrzebę spoczynku bodaj raz w tygodniu. Ekonomiści twierdzą, że obchodzimy nieco więcej świąt, niż potrzeba, i wykazują ze zgrozą, iż zaledwie 150 dni w roku cała ludność naszego kraju oddaje się pracy — resztę zapełniają niedziele, szabasy, święta łacińskie, greckie, hebrejskie i... poniedziałki, nie licząc w to odpustów, jarmarków itp. uroczystości. Mają oni może słuszność, ale z tem wszystkiem są to wielcy nudziarze, rachmistrze bez czucia, bez duszy. Wykazywała nam to niedawno bardzo wymownie jedna z naszych znajomych, znakomita artystka—i ażeby czynem stwierdzić antypatyę swoją do każdej takiej zimnej rachuby, a przywiązanie do dawnych obyczajów i do nierozłącznych z niemi cnót domowych, zasiadła wkrótce potem do wieczerzy i do łamania opłatka w gronie rodziny, składającej się z dwojga czy trojga dzieci i z przyjaciela domu... O tej samej porze, mąż łamał się opłatkiem gdzieindziej; stary, patryarchalny obyczaj zachowany był tedy w całej pełni i okazałości, z temi małemi zmianami, jakie sprowadzają wymagania mody i — sztuki.

Rzecz to godna zastanowienia, że osoby, obdarzone temi lub owemi zdolnościami artystycznemi, wybierają sobie często mężów z pomiędzy tłumu zwykłych śmiertelników—z pomiędzy tego poziomego tłumu, pozbawionego wszelkich wznioślejszych instynktów. Pani spiewa przecudnie altem, lub sopranem, albo też rywalizuje na fortepianie z mistrzami pierwszego rzędu, a pan nietylko, że nie może brać udziału w tych wszystkich popisach, bo natura nie dała mu więcej zmysłu muzykalnego, jak karpiowi — ale nawet podziwienia swego dlu talentów żony nie umie wyrazić inaczej, jak chyba szerokiem otwarciem gęby. Po kilku latach pożycia małżeńskiego pani przychodzi do przekonania, że mąż, który mało co więcej umie, jak otwierać gębę, nie wystarcza jej do szczęścia, szuka więc duszy, którаby ją „rozumiała.“ I o ile była nieszczęśliwą w wyborze

męża, o tyle szczęśliwszą bywa w wyborze przyjaciela domu. Ztąd wynikają owe drobne modyfikacye w patryarchalnych obyczajach, zachowywanych przy łamaniu opłatka, o których wyżej wspomnieliśmy. Tą razą już nie ekonomiści, ale moraliści mogą być zgorszeni. Lecz od kiedyż to już pani Sand wykazała, że moraliści są większymi jeszcze nudziarzami, i mniej mają czucia od ekonomistów?

Nie śmiemy jeszcze powiedzieć nic stanowczego co do przebiegu tegorocznego karnawału. Powinienby być szalonym, gorączkowym w wirze swoich uciech i rozkoszy, ze względu na krótki czas, wymierzony mu do życia. Szereg zabaw tańcujących rozpoczęło kasyno mieszczańskie swojemi wieczorkami, tłumnemi jak rauty angielskie. Zapowiedziany jest oprócz tego bal kasynowy na 6. lutego, bal techników, bal tow. wzajemnej pomocy słuchaczów uniwersytetu, bal na dochód rygorozantów w. m. bal na dochód ochronek itd. Recepcyi oficyalnych nie będzie oczywiście, ze względu na panujące — bezkrólewie. Stanie się to powodem przykrego zawodu dla kilku wielkości drugiego rzędu, dla których celem całego żywota było prawo brania udziału w tak wysokich i dystyngwowanych zgromadzeniach.

Maleńki zawód spotka także miłośników sztuki, którzy spodziewali się rychłego otwarcia wystawy obrazów we Lwowie. Towarzystwo krakowskie zerwało układy, i ogłosiło w Czasie manifest, w którym tłumaczy się, iż łatwiej mu będzie istnieć nadal na własną rękę, niż w połączeniu z towarzystwem lwowskiem. Między innemi przytoczony jest ten powód, że artyści niechętnie zezwolą na to, ażeby obrazy ich zatrzymywane były tak długo, jakby tego wymagała podwójna wystawa. Zważywszy, że artyści sami po skończeniu jednej wystawy posyłają swoje obrazy na drugą, i że wystawienie obrazu w dwóch miastach powiększa szanse sprzedania, musimy wyznać, że to tłumaczenie się ze strony Krakowian wydaje nam się błahem. Po prostu korzystają z tego, że są silniejsi na tym punkcie, i chcą nam dać poznać swoją przewagę. Jak słychać, Towarzystwo lwowskie postanowiło przetrwać tę klęskę mężnie i spróbować, czy nie zdoła istnieć na własną rękę, bez pomocy Krakowian. Rozesłało ono tymczasem swoim członkom premię, złożoną z litograficznej kopii Rekrutacyi Kotsisa. Mimo wszelkich zarzutów, jakie poczyniono tej kopii, nie da się zaprzeczyć, że towarzystwo krakowskie nic lepszego nie daje swoim uczestnikom. Obraz Kotsisa zaleca się prawdą i humorem, a kopja, pominąwszy niektóre usterki, jest dosyć wiernem powtórzeniem oryginału.

Mamy do pomówienia o kilku drobnych nowościach literackich, które pojawiły się w ciągu tego miesiąca. Wyszła z druku tragedya p. Bronisława Komorowskiego p. t. Rejtan, dzieło, które jak się dowiadujemy z Mrówki, przedłożone było do konkursu, rozstrzygniętego na korzyść Żyda p. Lubowskiego. Pięcioaktowa ta tragedya świadczy bardzo chlubnie o poetycznem uzdolnieniu autora, który snać pod wrażeniem obrazu Matejki i świeżo odczytanych dzieł dramatycznych Słowackiego utworzył dzieło, nacechowane niemałym zapałem, choć pozbawione warunków, niezbędnych w każdym dramacie. Figury, wypadki, dykcya nawet — wszystko to podobniejsze do widziadeł gorączkowych i do zmor, trapiących wyobraźnię chorego człowieka, niż do jakiejkolwiek, choćby najdziwaczniejszej rzeczywistości. Jak dalece autor przejął się zbytnią swobodą obrazowania poetycznego, właściwą Słowackiemu, niech poświadczy ten ustęp z mowy sejmowej, położony w usta posła Łętowskiego:

. . . tento majestat jest święty,
Który rozlewa przedziwną woń mięty itd.

Moglibyśmy zacytować nader wiele takich przykładów, w których wszystkie inne względy poświęcone zostały konieczności znalezienia rymu. I tak, ponieważ król Stanisław August ma powiedzieć: „odwrócę napaść“, więc o dwa wiersze pierwej oświadczać musi stanowczo, że „rozhukanego nie umie lwa paść.“ Gdyby wady w budowie dramatycznej dozwoliły kiedy przedstawić Rejtana na scenie, aktorowie mieliby niemały kłopot, co począć z informacyami autora, zawartemi w nawiasach. Król np. w jednem miejscu: „(nudzi się)“ — Rejtan: „(wyczekuje strasznie)“ — Posłowie: „(grupują się mimowoli)“ itp. Walka tragiczna odbywa się w bohaterze nie między dwoma uczuciami jego serca, ale między jednem z nich—a głodem. Poniński tłumaczy mu, by ustąpił z sali sejmowej, bo

„Trzy doby wszakżeś o chłodzie i głodzie“

Na co Rejtan odpowiada z uznaniem:

„Waść znasz naturę ludzką!“

i pasuje się z myślami, które mu z jednej strony przedstawiają „przy ognisku domowem mir cichy“ — a z drugiej śmierć głodową. Bohaterskie postanowienie zwycięża jednak, Rejtan zostaje w sali i słabnie coraz bardziej. Król oświadcza, że

Człowieka tego ratować potrzeba,
Żywo — lekarzy! Osłabł pewnie z głodu —

Rejtan zbliża się do okna i woła:

Ha, mam... znalazłem już drogę do nieba!

Poczem wybija szybę, lecz nie w celu ulotnienia się przez okno — do nieba, ale dla połknięcia szkła, bo tragedya jest historyczną. Autor zapewne sam po dojrzalszym namyśle spostrzeże grube usterki przeciw pięknu i przeciw możliwości scenicznej, których dopuścił się w tem dziele, i nie da się zrazić krytyce, która nie mogła wypaść na jego korzyść. Już samo porwanie się na dzieło tak wielkich rozmiarów świadczy o wielkim zasobie siły twórczej, która kiedyś, lepiej zużytkowana i kierowana doświadczeniem, jakiego nabywa się wśród zawodów, może wydać znakomite owoce.

Pan AJO wydał tomik poezyi p. t.: Niby prawdy—niby żarty, które ze strony krytyki lwowskiej doznały jak najgorszego przyjęcia. Przy tej sposobności, jak zwykle, panowie krytycy podnieśli tylko strony ujemne, nie wspominając nawet o lepszych. Sam już wzgląd na to, że tomik ten wysłany był w świat bez wielkich pretensyi, jako zbiór ramotek przeznaczonych do wiekowania w tece autora, powinienby był recenzentów uczynić pobłażliwszymi. Zgadzamy się zresztą z nimi, że satyryczna wena p. AJO niekoniecznie jest szczęśliwą w tych niby-prawdach, niby-żartach, ale dla czegoż nie podnieśli że między innemi są tam i wcale ładne wierszyki?

Pan A. Urbański wzbogacił scenę lwowską dwoma nowemi, drobniejszemi utworami, które podobały się publiczności przy pierwszem przedstawieniu. Jestto krotochwila p. t. Pochód z pochodniami, i operetka p. t. Złoty chrzą-

szczyk, z muzyką p. Hösslego. Krotochwila odznacza się nowością pomysłu i figur, wprowadzonych na scenę. Są to zalety nader rzadkie w dzisiejszych czasach. P. Urbański powinien się zastanowić nad tem, że dotykając pewnych stosunków krajowych w tej krotochwili, natrafił na żyłę złota, którą powinien wyzyskać z korzyścią dla literatury i dla swojej sławy autorskiej. Bardzoby była pożądaną komedya, osnuta na stosunkach rzeczywistych, jakich ślady dają się napotkać w Pochodzie z pochodniami. Życie małomiejskie nasze ma wiele stron charakterystycznych i pełnych humoru, które dałyby się wybornie zużytkować na scenie.

Ze świata.

(Wspomnienie pośmiertne o — krynolinie). Pewien uczony Niemiec wydał temi czasy zajmujące dzieło pod tytułem: „Modenarrheiten“ (błazeństwa mody), w którem poświęca następujące wspomnienie zgasłej po kilkunastoletniem świetnem żywocie krynolinie:

„Jeżeli duchowieństwo przed czteromaset laty uważało szatana za wynalazcę prochu i sztuki drukarskiej, komu też byłoby przypisało wynalazek krynoliny? Pewnie także nie aniołowi. A przecież należy się zaszczyt tego wynalazku najbardziej postępowemu stuleciu, cywilizowanemu narodowi i najwyższej klasie społeczeństwa. Jeźli zaś mamy nazwać po imieniu damę, która stała się matką krynoliny, tedy jest nią pani Eugenia Montijo de Guzman, cesarzowa francuzka, która przed dwunastoma laty na tuilerskim balu w Paryżu wystąpiła po raz pierwszy w krynolinie, a o której szeptano sobie wówczas z miną tajemniczą, że wynalazła strój ten dlatego, ponieważ zakrywa zręcznie defiguracyę, jakiej czasowo podlega płeć niewieścia. Być może, że istotnie łączył się zamiar taki z tym wynalazkiem; być może, że piękna i roztropna cesarzowa sama wówczas potrzebowała czegoś podobnego; ale w gruncie rzeczy wpłynęły przecież na powstanie tej mody inne, głębsze czynniki, których źródłem nie jest cel osobisty. Widzieliśmy, że już od roku 1840 pęczniał coraz bardziej ubiór kobiécy; zaprowadzenie krynoliny było więc od dawna już przygotowane trybem mody, i w końcu musiało nastąpić jako konieczność. Zresztą nie trzeba zapominać, że krynolina nie jest bynajmniej nowym wynalazkiem, lecz właściwie starym tylko zabytkiem, który nanowo wydobyto z pomiędzy rupieci, czyli mówiąc grzecznie, nie jest ona parweniuszką, lecz młodą latoroślą staroszlacheckiej familii, która kwitnęła już w kilku pokoleniach. Liczy ona już w swym rodzie dwie prababki, z których dumną być może: hiszpańską spodnicę obręczową w siedmnastym, i francuską w ośmnastym wieku. Z obydwoma wiążą się ciekawe daty historyczne, ale i potomek ich z dziewiętnastego wieku nie ustępuje im wcale co do znaczenia historycznego. Uważano bowiem, że każdego razu, gdy szczególny ten strój pojawia się i nadymać zaczyna, a równocześnie z nim—jak to bywa zawsze prawie — także fryzura kobiét się podnosi, można z pewnością liczyć na ważne katastrofy w dziejach. Po obręczach hiszpańskich nastąpiła trzydziestoletnia wojna, po francuskich — rewolucya. Tak też i nasza nowożytna krynolina była już od początku swojego istnienia złowrogą zwiastunką przyszłości. Czegożto nie przyniosła nam ona? Wojnę krymską, włoską, olbrzymią wojnę amerykańską, i krótką ale stanowiącą epokę wojnę niemiecką; rewolucyę polską, grecką, rumuńską, hiszpańską i meksykańską, upadek rozmaitych tronów i t. d. A co przyniesie nam jeszcze? I nie jestże to nakoniec dziwnem a poniekąd zabawnem nawet zrządzeniem Opatrzności, że odnowicielką tej mody stała się właśnie małżonka męża, który na losy dzisiejszego świata tak znaczny a może i najznaczniejszy wpływ wywiera?!“

(Recepta na rządy moskiewskie.) Jak donosi perjodyczne pismo zbiorowe: „Prace duchownéj Akademii kijowskiej,“ wystosowała carowa Katarzyna II. do wielkiego księcia a poźniejszego cara Pawła następujące pismo, uważane za jej ostatnie rozporządzenie:

„Przez znoszenie się moje z uczonymi ludźmi dowiedziałam się, że stary Egipt w czasach najwyższej swojej potęgi zakazał wszystkim cudzoziemcom przestępywać swoje granice, i dla tego zakazu otrzymał przydomek „roztropnego.“ Idź za tym przykładem i jako dobry ojciec chroń swoją rodzinę od wszystkiego, coby jej mogło być szkodliwem. Miej baczność, ażeby żadna książka, żaden dziennik, żadna karykatura nie dostała się do Moskwy bez twojej wiedzy. Lud nie powinien nigdy inaczej myśleć, niż jego władca. Tylko dobrze wymierzonej mnogości światła daj wniknąć między twoich poddanych, tyle tylko wpuść go, ażeby nie zaszkodziło ani tobie ani im, gdyż przedwczesna nauka w ogóle odbiera spokój tak panującemu jak i ludowi. Czyż jeden z filozofów mojego wieku — ten z Genewy — który był obojętnym na moje dobrodziejstwa, nie dowiódł w znakomitej książce, jak bardzo może narodom stać się szkodliwym postęp w umiejętnościach? Tak, Jean Jacques miał zupełną słuszność. Poźniejsze wypadki aż nadto wyraźnie udowodniły prawdziwość tej nauki, „że ludem, który wiele mówi, nie podobna rządzić według własnej woli“. Gdyby moi poddani nie byli przejęci taką bałwochwalczą czcią dla świętego Mikołaja, gdyby ślepo nie byli ulegali moim rozkazom, to nie byliby nigdy zaćmili półksiężyca, ani zdobyli mi polskiej Rzeczypoepolitej. Radzę ci zaprowadzić w każdym granicznym urzędzie celnym ścisłą cenzurę na książki przybywające z zagranicy. Mogłabym ci zacytować niejedną książkę, która pewnej potędze przyniosła więcej szkody, niż przegrana bitwa lub stracona prowincja. Ja znam uczonych — ściągam ich do siebie, ażeby lepiej ich zbadać. Czuwaj nad tem pilnie, ażeby nie tworzyli oni państwa w państwie. Nieszczęśliwy Ludwik XVI. panowałby jeszcze dzisiaj, gdyby słaby i dobroduszny ten monarcha w czasie zebrania się notablów nie był popełnił tego błędu, że chciał posłuchać zdania uczonych i dziennikarzy o opłakanych stosunkach finansowych Francyi. Opinia publiczna powinna zostawać pod władzą religii, gdyż religia i myśl człowieka powinny być nierozdzielne, a ta ostatnia ma być zawisłą od cenzury i duchowieństwa. Są fakta, których egzystencyi lud nawet przeczuwać nie śmie. Cierp w państwie tylko kilka dzienników i nie dawaj ciekawości publicznej za wiele pokarmu; nie daj też ludowi za wiele czasu do namysłu — lud nie na to stworzony, on nie powinien rozprawiać. Nic trudniejszego jak rządzić ludem, który z wszystkiego żąda sprawozdania. Rola ludu składa się z pracy i milczenia. Pióro uczonego

szkodliwszem jest od wojny. Wysyłaj na Sybir każdego piszącego, który pozwala sobie grać rolę męża stanu.“

Czyż system dzisiejszych rządów moskiewskich nie jest najzupełniej zastosowany do tej recepty?

(Ile wart artysta?) Na to pytanie można sobie odpowiedzieć, porównawszy następujące autentyczne cyfry?

Spiewaczka Malibran brała za każdą partyę, spiewaną w teatrze Drurylane w Londynie, 150 ft. szterlingów (do 2000 złr.) — Grisi dostała za dwie aryе, spiewane na wieczorze w Nowym Yorku 400 ft. szt., a za dwie inne w Londynie 600 ft. szt. Sławnemu spiewakowi Lablache zapłacono za dwa gościnne występy w Londynie 150 ft. szt., a królowa Wiktorya płaciła mu za godzinę nauki spiewu 50 ft. szt. — Drugi benefis panny Taglìani w Petersburgu przyniósł jej 51.000 rubli dochodu, a w ciągu przedstawienia kazał jej car doręczyć sztuczny bukiet, zrobiony z brylantów i turkusów. W Hamburgu zaś pobierała ta sama artystka za każdy występ gościnny 3000 mark. — Jenny Lind mogła za pieniądze zebrane w Ameryce zakupić całą Szwecyę. — Mario i panna Alboni nie spiewali w najświetniejszych czasach swoich nigdy niżej 2000 franków za wieczór, a Tombertier brał za swoje wysokie C nawet 2500 fr.—Nasz rodak Bogumił Davison, którego nie umiano szanować we Lwowie, otrzymał od dyrektora teatru Woltersdorfa w Berlinie za 30 występów gościnnych 10.000 talarów, a z Ameryki miał po krótkim pobycie przywieść 60.000 dolarów.

Ze znakomitości świata muzycznego zasługuje przedewszystkiem na wzmiankę Paganini, który za naukę gry na skrzypcach kazał sobie płacić po 2.000 franków za godzinę. — Hummel zostawił po śmierci 375.000 fr. gotówką i mnóstwo kosztownych upominków, zebranych na wszystkich dworach europejskich. Między temi było 26 pierścieni brylantowych wielkiej wartości, 34 złotych tabakierek i 142 bardzo kosztownych zegarków kieszonkowych. — Herz i Thalberg przywieźli z podróży po Ameryce każdy przeszło 300.000 dolarów. — Zmarłemu niedawno kompozytorowi „Cyrulika Sewilskiego“ ofiarował pewien przemyślny dyrektor teatru we Francyi milion franków, jeźliby przez 6 miesięcy spiewał sam Figara w swojej operze. Ale Rossini nie przyjął tej propozycyi.

Podobną propozycyę zrobił dyrektor teatru Porte-Saint-Martin w Paryżu Aleksandrowi Dumas w r. 1834; ofiarował mu 2000 fr. za każdy występ we własnym dramacie jego „Antoniusz,“ który wielce się podobał. Dumas drożył się z początku, żądał czasu do namysłu, a w końcu uległ próżności i przyobiecał. Naznaczono próbę, i już znajdował się pod prasą afisz z doniesieniem: „Antoniusz, dramat w pięciu aktach Aleksandra Dumasa. W jednem z najbliższych przedstawień: Antoniusz — pan Dumas.“ Ale ostatniej nocy jeszcze namyślił się Dumas inaczej i afisze zniszczono.

(Wyścigi gołębie). Najnamiętniejszymi miłośnikami gołębi są Belgowie, i ciągle odbywają się tam wielkie zakłady o szybkość gołębiego lotu. Niedawno puszczono z wystawy przemysłowej w Hawrze w oznaczonym czasie tj. o 9tej godzinie z rana 576 sztuk gołębi, i zaraz puściły się wszystkie z wyjątkiem jednego, który miał uszkodzone skrzydło, i kilku jeszcze, które poprzód usiadły na krótki czas w sąsiedztwie, w północno-wschodnim kierunku ku Belgii. Za każdego puszczonego gołębia musiano zapłacić wkładkę, wynoszącą sześć franków; do tej sumy dodał komitet wystawy sześćset franków, belgijscy wystawcy dołożyli tysiąc franków, a przez rozmaite inne dodatki urosła ogólna suma wszystkich zakładów do jedynastu tysięcy fr. Do tego przyłączyło się jeszcze mnóstwo zakładów prywatnych, robionych na pojedyńcze gołębie i na różne odległości. Że na takich wyścigach gołębich można coś zarobić, pokazuje się ztąd, iż jeden, liczący teraz dziesięć lat gołąb, zarobił już swemu właścicielowi 10.000 franków, odbywszy sześć wielkich wyścigów, między temi cztery jako zwycięzca. W tym samym roku odbył się podobny wyścig z Rzymu do Belgii, który trwał 9 dni, ponieważ powietrze było bardzo niepomyślne. Najpierwszy przybył gołąb, liczący już lat siedmnaście. Inna wyprawa wyścigowa wyruszyła w zeszłym roku z Agen, a brało w niej udział 1507 sztuk gołębi. Także w r. 1867 puszczano 1020 sztuk z twierdzy Sarrazin, a przy każdym wyścigu przynosił najszybszy gołąb wygrywającemu właścicielowi znaczną sumę.

(Maszyny słoneczne). Po dziennikach zagranicznych obiega wiadomość o nowym wynalazku sławnego inżyniera szwedzkiego Eriksona, który jednakże mógłby się przydać chyba dla stref zwrotnikowych. Mianowicie donoszą, że Erikson, znany przeciwnik węgla, zbudował kilka maszyn słonecznych, z których jedne porusza upał, wywołany skupieniem promieni słonecznych w jeden punkt, a drugie powietrze rozgrzane tym samym sposobem.

Ale z maszynami temi dzieje się podobnie jak z kalendarzem; oboje robią ludzi, ale powietrze robi pan Bóg. Erikson oblicza, że skupienie promieni słonecznych na przestrzeni 10 stóp kwadratowych równa się sile pociągowej jednego konia, a Erikson jestto mąż uczony i zasługuje przeto na wiarę. Ale zkądże weźmie promieni slonecznych, jeźli niebo się zachmurzy? Przypuśćmy, że wyjeżdża z swoją maszyną w najpiękniejszą pogodę. Nagle nadciąga burza; maszyna staje, i może stać przez ośm dni na tem samem miejscu, jeźli niebu się podoba, ażeby deszcz padał tak długo. Ale nawet i w dniach najpogodniejszych musiałby pociąg, ciągniony maszyną słoneczną, dobrze się spieszyć, ażeby stanąć u celu przed zachodem słonca.

Otóż — jak powiedzieliśmy — mogłyby korzystać z tego wynalazku jedynie strefy zwrotnikowe, np. południowa Afryka, gdzie przez kilka miesięcy niewidać chmurki na niebie. Tamto mogłaby taka maszyna przez siedm do ośmiu miesięcy działać bardzo tanio i zbawiennie; a za nadejściem pory deszczowe wtoczonoby ją do szopy, gdzie mogłaby wypoczywać aż do rozpoczęcia nowej służby.

(Lekarstwo na emancypacyę żon.) Dzienniki paryskie donoszą o zabawnym żarcie, jakiego użyła pewna liczba mężów dla wyleczenia szanownych połowic swoich z paroksyzmu emancypacyi. Trzeba bowiem wiedzieć, że za przykładem Ameryki odbyło się także w Paryżu kilka bardzo burzliwych metyngów niewieścich, które miały na celu wyzwolenie płci pięknej z pod tyrańskiej władzy mężczyzny.

A właśnie tam mają podobne narzekania kobiét swoją komiczną stronę. „L'homme regne, la femme gouverne"— mówią w Paryżu; mężczyzna może panować, ale kobiéta rządzi, i nigdzie nie włada jak wiadomo wola i kaprys kobiéty do tego stopnia, jak w Paryżu. Mąż chodzi przez cały dzień za swojemi sprawami, stara się zarobić, by opędzić znaczne wydatki na utrzymanie domu, by za podarek, przyniesiony do domu, uzyskać przyjaźne spojrzenie od małżonki, by sprawić jej nową suknię, zaprowadzić ją do teatru, i zgotować jej wszystko to, co kobiétę uszczęśliwić może. Nigdzie nie dobija się mąż tak ciężko zarobku dziennego, jak w Paryżu. Tymczasem przepędza małżonka czas u zwierciadła, albo jedzie do modniarki, albo przemyśliwa o nowej toalecie; bo dzieci jej oddane zostały do pensyonatu, ażeby matka nie miała z niemi kłopotu. Zatem pozostaje jej cały dzień do zajmowania się swoją pięknością. A przecież chcą Paryżanki uwolnić się od tyraństwa mężów!

Otóż w kilka dni po jednym z takich metyngów niewieścich, na którym piękne oratorki zaklinały swoje siostry, ażeby skruszyły nienawistne jarzmo, zgłosił się w kilkunastu domach adwokat, pragnący mówić z panią domu. Jejmość siedziała przy toalecie, ale gość nie dał się odprawić; musiała więc przyjąć go, chociaż z ofiarą kilku drogich chwil swego zajęcia przy zwierciedle. Gość skłonił się grzecznie i doręczył pismo stemplowane. Jejmość czytała zdziwiona i — pobladła. Adwokat ukłonił się znowu i odszedł.

Cóż zawierał ten papier? Wniosek rozwodu ze strony jej małżonka.

Upłynęło kilka długich godzin niespokojności i obawy. Nareszcie powrócił małżonek z bióra.

— „Mój drogi, co znaczy to pismo?"—pyta go blada i drząca.

— „Podałem o rozwód! Przecież chcesz być wolną! Więc będziesz..."

— „Ale ty pewno przemoczyłeś nogi! Ty się przeziębisz, kochany mężu! Usiądź przy kominku i ogrzej się! Mam ci przygotować herbatę?"

— „Nie potrzeba, jestem zdrów zupełnie" — odpowiada mąż, śmiejąc się w duchu z tej troskliwości, jakiej nie poświęcano nigdy jego zdrowiu. — „Mnie całkiem dobrze, i tobie będzie lepiej, gdy raz będziesz wolną!"

— „Ależ kochany mężu, ja ciebie nie rozumiem! Czy mam ci podać szlafrok?"

— „Nie, dziękuję ci! Pocóż ta niewola, której nigdy sobie nie zadawałaś? Słyszałem twój jęk boleści, że uciemiężam cię tylko, więc nie będę już i pracować dla ciebie! Dotąd spadały na nas mężów wszelkie ciężary, wszelkie troski; męczyliśmy się po całych dniach, przepędzaliśmy noce bezsenne, przemyśliwając nad nowemi środkami zarobku, walczyliśmy z tysiącami przeciwników o chleb codzienny, gdy tymczasem wy żony zajmowałyście się toaletą, jeździły na spacer, odbierały hołdy od wielbicieli... To wszystko musi ustać! Precz z niewolą! Naszym obowiązkiem jest, powrócić wolność wam biednym. Niech żyje wolność!"

W godzinę potem siedzieli oboje przy stole; nie było już mowy o niewoli, o skruszeniu jarzma. Wszystko zostało po dawnemu. Jakież to cudowne lekarstwo!

(Nowo wynaleziony przyrząd do ratowania życia na morzu). W Paryżu robiono niedawno na Sekwanie próby z nowym przyrządem do ratowania życia na morzu, którego wynalazcą jest były kapitan wojsk amerykańskich Mr. Stonor. Aparat ten składa się z gumielastycznego ubioru, z kaftana korkowego i z pływającej skrzynki, przymocowanej u pasa tego ubioru. Skrzynka ta zawiera w dolnej części wystarczający na ośm do dziesięciu dni zasób świeżej wody do picia, którą może człowiek leżący w wodzie ssać wygodnie za pomocą rury gumielastycznej, zamykanej śrubą metalową. Całe to ubranie kosztuje razem ze skrzynką 7 funtów szterlingów. W obecności wielu znakomitych techników i licznych członków eleganckiego świata, odbywali wynalazca, Mr. Stonor, i młode małżeństwo amerykańskie, państwo Cradock, próby z tym aparatem. W przeciągu trzech minut byli zupełnie ubrani i na dany znak skoczyli z parostatku, stojącego na Sekwanie między mostami Jena i Passy, w wodę, w której zostawali przeszło dwie godzin, i przez ten czas zajmowali się czytaniem, pili szampana, jedli obiad, palili sygara, puszczali ognie sztuczne, strzelali z rewolwerów i tp. A gdy nad wieczorem powrócili na pokład statku, przekonano się, że ich suknie i bielizna nie przemokły wcale pod tą powłoką gumielastyczną; przytem nie uskarżali się bynajmniej na znużenie lub zimno, lecz czuli się całkiem zdrowymi. Jak opowiada p. Stonor, zamówiło już u niego kilka towarzystw nawigacyjnych bardzo znaczną ilość takich aparatów. Cóż będzie znaczyć teraz rozbicie okrętu?

(Wynalazek bardzo ważny) zrobiono prawie równocześnie w Ameryce i we Francyi, ażeby zapobiedz uduszeniu się żywcem pogrzebanych; a jestto wynalazek tak pojedyńczy, że dziwić się potrzeba, iż dopiero teraz zdobył się nań rozum ludzki. Oto po prostu zostawia się w trumnie, nad samemi ustami zmarłego, okrągły otwór, i zakłada weń rurę metalową, która dochodzi aż do powierzchni grobu i może być bez wszelkich środków ostrożności obłożona ziemią. Gdyby więc zdarzył się wypadek, iżby pochowany w letargu ocknął się w grobie, może on nietylko oddechać, ale nawet wołać przez taką rurę; po niejakiem zaś czasie można ją zatkać ziemią albo kamieniem.

(Heroizm moskiewski). Gdy Napoleon I. wkroczył w r. 1812 do Moskwy, przyprowadzono z podjazdu chłopa, którego wypytywał się cesarz przez tłumacza o właściwości okolicy. Po odejściu cesarza na radę wojenną pozostał ten chłop pomiędzy adjutantami, i jeden z oficerów, chcąc zażartować z niego, wymalował mu atramentem duże N na ręce. Chłop przypatrywał się tej operacyi z wyrazem zadziwienia i głupoty, a gdy w końcu zapytał tłumacza, co to ma oznaczać, odpowiedziano mu w żarcie, że odtąd przestał być poddanym cesarza Aleksandra a stał się przez to N poddanym cesarza Napoleona. Chłop nie rzekł na to ani słowa, tylko wyciągnął siekierę z za pasa, odciął sobie rękę na pniaku i rzucił ją oficerowi pod nogi z dodatkiem kilku słów, których tłumacz nie chciał nawet wymienić, ponieważ obrażały w najwyższym stopniu majestat cesarza i wielkiego narodu. Wypadek ten sprawił nadzwyczajne wrażenie na Napoleonie.

(Nowa teorya o znaczeniu kobiét). Jedną z najgorliwszych kapłanek i obronicielek zupełnej emancypacyi kobiét w północnej Ameryce jest niejaka Elżbieta Farnham w Nowym Yorku. Wyobrażenia jej o godności i prawach kobiéty tak są dziwaczne, że u nas mogłyby ją wprost zaprowadzić do czubków. Już w r. 1841 miewała ona jakieś objawienia i prorocze widzenia, mające świadczyć o boskiej prawie godności kobiéty; ale ponieważ właśnie wtedy zdarzyło się jej pójść za mąż, więc zdaje się, że powaga małżonka musiała wyleczyć ją tymczasowo z urojeń o boskości jej stanowiska. Przynajmniej żyła przez kilkanaście lat spokojnie i rozsądnie w kole rodzinnem; nieszczęściem jednak odumarli ją mąż i dzieci, i w tem osamotnieniu opętał ją z próżniactwa znowu dawny szał proroczy. I oto w najnowszych czasach wystąpiła szanowna wdowa nanowo z mniemanem objawieniem o doskonałości i wyższem przeznaczeniu kobiéty. Podług niéj zachodzi między mężczyzną a kobiétą taki stosunek, jak między orangutangiem a człowiekiem. Przewaga kobiéty jest zupełna, tkwi ona w mózgu, w sercu i w delikatniejszej tkance nerwów. Kobiéta stoi w pośrodku między człowiekiem i aniołem. A dlaczego? Bo jej ciało jest delikatniejsze i piękniejsze, a nadto bogatsze od męzkiego o jeden organ, mianowicie organ pokarmowy; zatem znajduje się kobiéta widocznie już w stadyum przejścia do wyższej klasy istot. Gdy mężczyzna w drodze rozumu pojmuje naturę całkiem materyalnie, zbiera daty i fakta, rozróżnia przyczyny i skutki, na podstawie harmonii układa prawa: — nie potrzebuje kobiéta żadnej zgoła metody, jej przywilejem jest bezpośrednie widzenie rzeczy, nieomylne uczucie. Jedno spojrzenie, jedno poczucie odkrywa jej to, co rozum mężczyzny przerabia mozolnie po trosze i przez długie lata. Rozum ma swoją dobrą stronę; mężczyzna potrzebuje go, ażeby pokonywać ziemię w usługach kobiéty, istoty wyższej, szafarki miłości, radości i szczęścia. Zadaniem zaś kobiéty jest, obcować z Bogiem, upiększać i uswięcać życie, używać itd. W takim duchu apostołuje szanowna wdowa Elżbieta Farnham, a czytelnik poznał już zapewne z tego, że przysłowie o długich włosach a krótkim rozumie znachodzi u niej najzupełniejsze potwierdzenie.

(Początek kapeluszów cylindrowych.) Używane teraz w całym świecie cylindry jedwabne mają podług podań wiarygodnych pochodzić wprost z Chin, ojczyzny jedwabnictwa. Pierwszy taki kapelusz jedwabny miał sporządzić przed 40 laty pewien czapkarz chiński, podług wzoru cylindra pilśniowego, na żądanie jakiegoś francuskiego turysty i badacza natury, a ten przywiózł go do Europy, gdzie najpierwszy p. Dupont w Paryżu pochwycił ten wynalazek, który teraz przynosi we Francyi 60 milionów rocznego dochodu. O samem jedwabnictwie opowiada stara kronika, że wynalazł je przed 4000 lat chiński cesarz Iwangting, i że przez długi czas było ono tajemnicą familii cesarskiej, aż wreszcie zdradziła ją jedna z księżniczek. Czegożto kobiéta nie zdradzi! Do Europy dostało się jedwabnictwo w r. 1148 najprzód do Palermu, a ztamtąd do Francyi, Anglii i Niemiec.

(Podarunki) przesłane Sułtanowi Barnu (w Afryce środkowej) przez króla pruskiego, składają się z tronu aksamitnego haftowanego złotem, zegarka repetiera, tuzina zegarków zwyczajnych złotych i srebrnych, sześciu karabinów iglicowych, tuzina rewolwerów, sześciu burnusów naszywanych złotem, kilku tuzinów zawojów, naszyjników koralowych, essencji i t. p. Sułtan pragnął mieć też i powóz; ale z powodu trudności przesyłki takiego daru, konieczności rozebrania powozu na części, ładowania go na wielbłądy mające przewieść powóz przez całą pustynię Saharę, a nakoniec konieczności wysłania kogoś, ktoby powóz umiał złożyć — nie można było zadosyć uczynić życzeniom Jego Sułtańskiej Mości.

(Góra magnesowa) Czytamy w Independance Belge wiadomość o odkryciu w Laponji góry magnesowej, którą przerzyna żyła żelaza namagnesowanego, gruba na wiele (plusieurs) decimetrów. Ma to być najbogatsza mina takiego żelaza ze znanych dotąd; wydobyć już miano z niej kawały dosyć znaczne. Jeden z uczonych zajmujących się elektrycznością, Dover w Berlinie, dostał z tej góry bryłę żelaza magnesowego, ważącą przeszło 30 kilogramów. Wieść ta przypomina nie jedną z powieści ludowych, w których wspominaną jest góra magnesowa.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1868.

Wrotnowski L. O potrzebie kodeksu międzynarodowego. Warszawa 1868.
Pruszyński Z. Kilka słów tyczących się reorganizacyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Kraków 1868.
Słowacki J. Ojciec zadżumionych. Warszawa 1868.
Mecherzyński K. O poetach czasów Stanisława Augusta. Kraków 1868.
Mecherzyński K. Uwagi nad Rychtarskiego literaturą polską. Kraków 1868.
Rychtarski L. T. Odpowiedź Dziennika Poznańskiego. Kraków 1868.
Kraushar A. Uwagi nad historyą prawa. Warszawa 1868.
Hube R. O znaczeniu prawa rzymskiego. Warszawa 1868.
Levitoux H. Kilka słów w obronie nauki i prawdy. Warszawa 1868.
Heylman A. Rozprawy o sądownictwie i prawie karzącem w Polsce. Warszawa 1868.
Caballero F. Rodzina Alvareda. Nowella hiszp. tł. Wł. Miłkowski. Warszawa 1868.
Matejko F. E. O prawach i sądach czeskich. Warszawa 1868.
W sprawie pisowni odpowiedź Cegielskiemu itd. Poznań 1868.
Kętrzyński W. dr. Die Hygier. Zur Urgeschichte der Westslaven. Posen 1868.
Daguerry l'abbé. Sermon a l'occasion du 100 anniv. de la conféd. de Bar. Paris 1868.
Biblioteka ludowa Władysława Mickiewicza:
Spiewy narodowe. Paryż 1868.
Fredro. Przysłowia mów potocznych. 2 tomy. Paryż 1868.
Garczyński L. Dzieje Wacława. Paryż 1868.
Giller A. Historya powstania narodu polskiego 1861 — 64. tom II. Paryż 1868.
Bolesławita B. Rachunki z r. 1867. 2 tomy. Poznań 1868.
Nabożeństwo poświęcone czci Najśl. serca Jezusowego. Wyd. Rola. Warszawa 1868.

Eichhorn A. dr. Der Ermländische Bischof Martin Kromer. Braunsberg 1868.

Kempner D. Historische Novellen (o Polsce) Breslau 1868.

Z ubiegłych dni. Poezye. Lipsk. Poznań. 1868.

Wrotnowski L. O potrzebie kodeksu międzynarodowego. Warsz. 1868.

Zeisberg H. Die Kriege Heinrich II. mit Herzog Bolesław v. Polen Wien 1868.

Le Brun T. Komedye. Warszawa 1868.

La France, la Pologne et la prince Napoleon. Bruxelles 1868.

Libelt K. dr. Znaczenie zaćmienia słonecznego 1868. Pozn. 1868.

Bauer Ks. Judaizm jako dowód Chrześcianizmu. Kraków 1868.

Biblioteka ordynacyi Krasińskich. Rok 1868. Warszawa 1868.

Akta grodzkie i ziemskie Rzeczypospolitej polskiej. T. I. Lwów 1868.

Nowicki M. Przegląd prac o Kręgowcach galicyjskich. Kraków 1868.

Ujejski K. Mowa na pogrzebie A. Grottgera. Lwów 1868.

Amerykanka. Sielanka dramatyczna. Bydgoszcz 1868.

Pamiątka obchodu 50letniej rocznicy zawiązania Towarzystwa nauk. krak. 1868.

Widmann K. Józef Korzeniowski. Lwów. 1868.

Majer J. dr. Stanowisko Towarzystwa nauk. krak. w obec nauki i kraju. Kraków 1868.

Nowicki M. Zoologia I. Zwierzęta ssące. Kraków 1868.

„ Zwierzyniec obrazowy. I. Zwierzęta ssące. Kraków 1868.

REBUS.



Znaczenie rebusu w poprzednim zeszycie: *Co ma wisieć, nie utonie.*

Makowiecki. Spółki spożywcze. Warszawa 1868.

Mocnik F. Geometrya dla klas wyższych gimn. tłum. Dr. Stanecki. Lwów 1868.

Kuliczkowski A. Zarys dziejów literatury polskiej. Lwów 1868.

Curtius J. Gramatyka języka greckiego. tł. T. Sternal i Z. Samolewicz. Lwów 1868.

Janota E. Wypisy niemieckie dla 1. i 2. klasy gimnazyalnej. Kraków 1868.

Janota E. Gramatyka języka niemieckiego. Kraków 1868.

Załęski W. Kilka słów o teoryi statystyki. Warszawa 1868.

Dawid W. Metoda początkowego nauczania. Warszawa 1868.

Górski L. O metodach taxy dóbr ziemskich w Towarz. kred. pruskich. Warszawa 1868.

Chotomski B. Rzecz o Towarzystwach Zabezpieczenia od ognia i bytu. Toruń 1868.

Karpowicz K. Myśl usunięcia przyczyn wygórowanej ceny żywności. Warszawa 1868.

Węclewski K. Słownik łac. polski do autorów klas. Kraków 1868.

Chotomski B. O mechanizmie zapisów kupieckich. Poznań 1868.

Marczewska A. Wyjątek z powieści: Żyd chrześcianin. Warsz. 1868.

Eckardt J. Die baltischen Provinzen Russlands. Leipzig 1868.

Wernie H. Przewodnik wychowania. Warszawa 1868.

Bolesławita. Bezimienna. Lwów 1868.

Politische Briefe über Russland und Polen. Lemberg 1868.

Trzy programy. Lwów 1868.

Maciejowski W. A. Pogląd na kodyfikacyą praw w dawnej Polsce. Kraków 1868.

Brug F. M. Mały kominiarczyk. Powieść. Brodnica 1868.

Ocenienie szkoły (czasopismo). Kraków 1868.

Wodzicki K. Zapiski ornitol. — Wróbel domowy. Kraków 1868.

Trzy rozdziały z hist. skarbowości w Polsce 1504—1532. Kraków 1868.

M. S. Kilka słów o zaprowadzeniu ksiąg hypot. w posiadł. włośc. Kraków 1868.

Zalew kopalni Wielickiej. Lwów 1869.

Zacharjasiewicz Jan. W przededniu. Powieść. 3 tomy. Lwów 1869.

SZARADA.

Gdy pierwsza z drugą myślom wyraz dają —
Niemiłe człeku, bo karcą i łają.
Pierwsza z trzecią gdy się zlewa —
Przybierają postać drzewa;
Druga z trzecią w jednym rodzie —
Żyją w wodzie.
A wszystko razem jezli poznać chcecie,
Śród ogrodowin poszukajcie w lecie.

Znaczenie szarady w poprzednim zeszycie: *Krytyk.*

Poczta «Strzechy».

Panu K. M. w Poznaniu: Opisy polskich zabytków historycznych są dla nas wielce pożądane. — *Panu A. G. w Krakowie:* Wiersz przysłany nie ma dla ogółu żadnej wartości, i dlatego nie może być umieszczony. — *Panu L. K. w Tarnopolu:* Artykuły z dziedziny nauk przyrodniczych, jeźli są popularnie pisane, przyjmujemy z wdzięcznością. — *Panu J. G. w Sanoku:* Upraszamy najmocniej o przyrzeczony artykuł, którego oczekujemy z upragnieniem.

Szanownym abonentom „Strzechy“ w Radomyślu i okolicy donosimy, że pełnomocnikiem naszym jest p. Leon KASPRZYKIEWICZ w Radomyślu.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER.

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO